

**W numerze:** KAROL BADZIAK *Miasto krawców „mężczyźnianych”* ● ROMAN LOBODA *O pisaniu prozę* ● KONRAD FREJDICH *Judith* ● *Jamnik a prawo* ● *Konkurs* ● *Nowela kryminalna* ● *Zawsząd o wszystkim*

# odgłosy



2 (686)

10. I. 1971 r.

Cena 1.50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV**



Fot. Włodzimierz Pietrzyk

JAN KOPROWSKI

## Dziennik podróży

BERLIN

czwartek, 10 grudnia 1970 r.

Wczoraj około północy wyjechaliśmy z Warszawy pociągiem. Loty aeroplanem przy obecnym stanie pogody są raczej niepewne. Jest nas pięciu: Jerzy Putrament (przewodniczący delegacji), Jan Maria Głogoski, Józef Lenart, Leopold Lewin i piszący te słowa, Jerzy Jurandot, który również miał jechać z nami, rozchorował się w ostatniej chwili i musiał pozostać w domu. Choć mamy miejsca sypialne, nie możemy zasnąć. Próbuję czytać „Aforyzmy o mądrości życia” Arтура Schopenhauera, ale nic z tego.

Na Ostbahnhof czekali na nas przedstawiciele Zarządu Związku Pisarzy NRD oraz dwaj pracownicy naszej ambasady, z których jeden okazał się moim starym znajomym. Obiecujemy sobie znaleźć spokojną chwilę, aby porozmawiać o dawnych i nowych sprawach. Tymczasem jednak jedziemy do hotelu „Berolina”. Tyle razy już tu mieszkałem. Pełno cudzoziemców: Węgrzy, Rumuni, Rosjanie, Francuzi, Anglicy, jacyś Polacy z Poznania, są Afrykańczycy.

Jutro pojedziemy do Oberhof w Turyn-gii, gdzie przeprowadzimy rozmowy o współpracy pomiędzy naszymi związkami pisarzy. Dzisiejszy dzień przeznaczony na zaaklimatyzowanie się w Berlinie. Ale już po południu porywają nas do ambasady, gdzie odbywa się spotkanie z tłumaczami literatury polskiej i wydawcami niemieckimi. Spotkanie poprzedza pokaz filmu „Brzezina”, zrealizowanego według opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza. Nie wszystko w tym filmie mi się podoba, na przykład gra Łukasiewicza, ale całość robi wrażenie. Przyroda polska, oglądana właśnie tutaj, w kamiennym, pozbawionym drzew Berlinie, porusza do głębi. „Brzezina” Iwaszkiewicza zawsze bardzo lubiłem, i choć z Wajdą można by się o niej jedno poprzeczać, wydaje się, że jest to film znaczący. I jeszcze jedno: takiego

Dalszy ciąg na str. 3

## Szkoła — jaka jest potrzebna

Rozmowa z mgr. Zofią Włodarczyk  
kierowniczką Wydziału Nauki, Oświaty i Kultury  
KŁ PZPR

Szkolnictwo łódzkie wkracza w roz-pocznającą się pięcioletnią z dorobkiem określonych doświadczeń z re-formy systemu nauczania, wkracza też z bagażem zadań i obowiązków społecznych do wypełnienia.

— Co jest w chwili obecnej czołowym zadaniem szkolnictwa łódzkiego?

— Sprawy te były przedmiotem obrad niedawnego posiedzenia plennego Komitetu Łódzkiego PZPR. Jako główne kierunki rozwoju szkol-nictwa ogólnokształcącego i zawodo-wego w latach 1971—1975 przyjęto kontynuowanie reformy w kierunku osiągnięcia dalszego wzrostu pozio-mu wychowania i nauczania oraz pełniejsze niż dotychczas dostosowa-nie struktury szkolnictwa do potrzeb gospodarki miasta. W rozwoju prze-myślu łódzkiego następują i następo-wać będą przemiany strukturalne. Przewiduje się rozwój takich gałęzi przemysłu jak mechaniczna, elektry-

czna czy chemiczna; co zwiększy za-potrzebowanie na kadry kwalifikow-ane, szczególnie kwalifikowanych robotników i techników. Konieczno-cią jest więc położenie nacisku na rozwój szkolnictwa zawodowego, skoordynowany z potrzebami prze-myślu i innych gałęzi gospodarki miejskiej jak np. handel, budownic-two czy komunikacja.

W związku z tym, w ciągu ostat-nich dwóch lat, przeprowadzane są w Łodzi zmiany strukturalne szkol-nictwa, mające na celu zwiększenie dopływu młodzieży do szkolnictwa zawodowego. Chodzą tu przede wszystkim o rozwój zasadniczych szkół zawodowych, a szczególnie szkół przyzakładowych i dokształca-jących, przy jednoczesnym stopniowym ograniczaniu szkolenia w za-kresie techników dla absolwentów szkół podstawowych.

— Czy to oznacza, że nie występuje lub zmniejsza się zapotrzebo-

wanie na kadry ze średnim wykształceniem technicznym?

— Oczywiście nie. Nasyconie go-spodarki łódzkiej kadry techników kształtuje się poniżej przeciętnej dla wielkich miast wydzielonych, jednak-że istnieje wiele dróg przygotowania tej kadry, a w łódzkich warunkach nastawiamy się w najbliższych la-tach na znaczny rozwój średniego szkolnictwa zawodowego dla pracu-jących. Wiąże się to z systematycz-nym przechodzeniem na dwustopnio-wy cykl kształcenia techników. Śred-nia kadra zawodowa będzie się kształcić w trzyletnich technikumach wieczorowych i zaocznych dla pracu-jących, przeznaczonych dla absol-wentów zasadniczych szkół zawodo-wych. Część absolwentów szkół za-sadniczych będzie mogła kontynuować

Dalszy ciąg na str. 4





Pierwszy komentarz w nowym roku nie może być pozbawiony okolicznościowej refleksji. Zwłaszcza, że rok 1970 zamknął, jak się wydaje, na kontynencie europejskim pewien okres i zapoczątkował nowy. Weszliśmy w etap kształtowania — w pełnym tego słowa znaczeniu — warunków pokojowego rozwoju krajów i ich bezpieczeństwa. Przyczyniły się do tego wcale nie dwa wydarzenia: podpisanie układów między Związkiem Radzieckim i NRF oraz między Polską a NRF. Jak wiadomo — żaden z tych układów nie wszedł jeszcze w życie, będzie się o nie toczyć batalia w parlamencie zachodniemieckim, jednak ich polityczne następstwa są już odczuwalne w stosunkach międzynarodowych.

Z zadowoleniem trzeba więc podkreślić, że Polska jest współtwórcą najważniejszych wydarzeń minionego roku i odniosła pierwszy, wymierny sukces, koronujący liczne nasze inicjatywy na arenie międzynarodowej. Z góry można przewidzieć, że 1971 rok będzie ogniskował działanie polskiej dyplomacji wokół doprowadzenia do końca procesu normalizacji stosunków z NRF. Ratyfikacja układu i wymiana dokumentów ratyfikacyjnych będzie równoznaczna z wejściem jego w życie, oraz, co zapowiedział ostatnio w czasie debaty sejmowej premier Piotr Jaroszewicz, z nawiązaniem stosunków dyplomatycznych.

Nigdy z normalizacji tej nie czyniliśmy warunkiem doprowadzenia do skutku idei zwolnienia europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Ale też trudno nie zauważyć, że układy moskiewski i warszawski ułatwiają zwolnienie konferencji. Za realną możliwością, że spotkanie to odbędzie się jeszcze w bieżącym roku, przemawia także wciąż wzrastające zainteresowanie nim ze strony krajów europejskich.

Przekonanie, że konferencja taka mogłaby być bardzo pożyteczna ugruntowało się już w krajach neutralnych. W krajach Skandynawii i Beneluxu fińska inicjatywa podjęcia konkretnych rozmów przygotowawczych — znalazła pozytywny odzew. Korzystna ewolucja na rzecz zwolnienia konferencji dokonała się we Francji, a także w W. Brytanii i Włoszech. Wprawdzie nie znalazło to swego wyrazu na brukselskiej konferencji NATO, która, co więcej, była pewnym cofnięciem w stosunku do poprzedniej sesji członków Paktu Atlantyckiego w Rzymie, ale stało się tak tylko dlatego, że na europejskie kraje NATO silny nacisk wywierały Stany Zjednoczone. Utrzymujący się impas w politycznym rozwiązaniu konfliktów indochińskiego i bliskowschodniego, będący następstwem amerykańskiej polityki, każe USA opóźnić zwolnienie europejskiej konferencji. Nie przesądzi to jednak o jej losach.

W przygotowaniu do konferencji Polska, jeden z jej inicjatorów, wnosić będzie swój czynny wkład. Miniony rok był rokiem szczególnej aktywności naszej dyplomacji. Prowadziliśmy wiele dwustronnych rozmów. W każdej z nich tematem dominującym była Europa, jej pokojowa perspektywa. Polska dyplomacja będzie nakierowana na osiągnięcie tego celu także w roku bieżącym.

Szczególne zainteresowanie, jakim okazujemy kompleksem zagadnień europejskich, nie eliminuje z pola widzenia najważniejszych problemów spoza naszego kontynentu. Jest bowiem ściśle funkcją między odprężeniem w Europie, a trwałym napięciem w Indochinach i na Bliskim Wschodzie.

Początek 1971 roku nie zwiastuje wygaszenia ogniska wojny w Indochinach. Krótka przerwa w działaniach wojennych w południowym Wietnamie, po której szybko wznowiono walki oraz martwy przebieg czterostronnej konferencji w Paryżu nie zapowiadają przelomu. Nie może on nastąpić tak dłużej, jak długo Stany Zjednoczone będą podtrzymywać swą dotychczasową politykę. Pierwsze dni stycznia 1971 nie przynoszą tymczasem żadnych optymistycznych zapowiedzi. Mimo to chcemy wierzyć, że zwycięży przekonanie o potrzebie politycznego, a nie militarne-go rozstrzygnięcia konfliktu.

Lekki optymizm zarysowuje się w drugim zapalnym rejonie — na Bliskim Wschodzie. Izrael skłonny został do podjęcia rozmów z krajami arabskimi z udziałem Jarringa. Specjalny wysłannik sekretarza generalnego NZ — U Thanta będzie więc mógł wznosić swą misję. Decyzja Izraela ma umożliwić przedłużenie po raz drugi okresu przetrwania ognia, czy jednak zapoczątkuje owocne rozmowy? Niestety, na pytanie to nie można udzielić twierdzącej odpowiedzi. Po prostu w izraelskiej polityce u progu nowego roku nie dopatrujemy się żadnej pozytywnej zmiany, bez której — rzecz zrozumiała — nie można rokować pomyślnego przebiegu rozmów. Mimo to podjęcie negocjacji otwiera możliwość wejścia na drogę pokoju.

Polska nie zaniebdywała nigdy żadnej okazji, aby swoim głosem dopomóc w takim rozwiązaniu obu nabrzmiałych problemów. Forum Organizacji Narodów Zjednoczonych i swe szerokie międzynarodowe kontakty będziemy wykorzystywać także w tym celu. Założeniem naszej polityki jest bowiem przeciwstawianie się wszelkiemu awanturnictwu i zbrojnym interwencjom oraz rozwiązywanie złożonych problemów przy okrągłym stole. Taką linię postępowania w pełni potwierdziło VII plenarne posiedzenie KC PZPR i expose rządowe nowego premiera na posiedzeniu Sejmu tuż przed zakończeniem starego roku.

Świat wkracza w 1971 rok z bagażem wielu nie rozwiązanych problemów, ale też z silniejszym niż kiedykolwiek przekonaniem, że możliwe jest rozwijanie procesu odprężenia. Rok 1970 przyniósł ważne, pozytywne przykłady. Chcemy wierzyć, że zostaną one pomnożone. W Europie i na innych kontynentach.

W. SŁAWSKI

Zawszqd o wszystkim

Zawszqd o wszystkim

## Cena zabójstwa

„NEWSWEEK” — NOWY JORK

Choć szalał huragan, a drogi tonęły w strugach deszczu, cały sztab korespondentów akredytowanych w Sajgonie rzucił się do portu lotniczego Thansonjat, aby napisać sprawozdanie z przybycia podporucznika Williama Colly do Song My — miejsca masowej zbrodni, w której i on brał udział.

Mimo tak wielkiej ofiary nie udało się ruchliwym dziennikarzom ujrzeć Colly'ego. Gdy tylko opuścił pokład odrzutowca, skryła go przed oczami ciekawskich szczelna zasłona koloru kha ki — wojsko, własną piersią osłoniło swego przelazłego podporucznika.

Po bezskutecznych próbach dostania się do Song My, gdzie Colly'ego czekała konfrontacja z naoczniymi świadkami krwawej masakry, reporterzy zaczęli przebą kiwać, że wojsko chroni cze goś bardziej namacalnego, niż czeł człowieka, przeciwko któremu toczy się dopiero śledztwo. Powiedzmy o twarcie, tym „czymś” namięcym jest kontrakt na 150 tysięcy dolarów, który zawarł Colly z pismem „Esquire” oraz z wydawnictwem książkowym „Wiking Press”.

Colly otrzymał już od redakcji „Esquire” 50 tys. dolarów za serię trzech „opowiadań”. Należy mu się jeszcze 100 tys. dolarów od „Wiking Press” za książkę, która ukazuje się po zakończeniu procesu sądowego. Wszystkie przemawia za tym, że władze wojskowe są z tego nader zadowolone.

„Nie kontaktowałem się z władzami wojskowymi” — mówi John Seck, współpracownik „Esquire”, który przygotowuje do druku „opowiadania” Colly'ego. „Ale wydaje mi się, że władze wojskowe są zadowolone z równo z opowiadani w „Esquire” jak i z mającej się ukazać książki. Colly utwierdza w nich przekonanie, że

naród amerykański kazał żołnierzom prowadzić tę wojnę i że żołnierze wykonują tylko swój obowiązek.”

„Wyznania podporucznika Colly”, których pierwszą część ukazała się w listopadowym numerze „Esquire”, są tak skonstruowane, aby wzbudzić sympatię dla żołnierzy i wyrozumiałość dla wojska. Autor nigdzie nie za przecza wprost faktom zabójstwa 102 Wietnamczyków, ale całość „Wyznań” przepojona jest gorącą wiarą we własną niewinność.

Literackie próby Colly'ego, same w sobie, nie są bynajmniej, zjawiskiem odosobnionym. Zabójcy albo też ludzie podejrzani o zabójstwo od dawna już robią w naszym kraju dobry biznes przy pomocy prasy, radia i telewizji. Jeden z nich, na przykład, napisał książkę o mordercy Martina L. Kinga, Shiran-Shiran otrzymał od kompanii telewizyjnej NBC 15 tys. dolarów za wywiad, Charles Manson z powodzeniem handluje magnetofonowym zapisem swoich piosenek. Ale biznes Colly'ego jest najbardziej intratny ze wszystkich i znacznie bardziej złożony.

„To jest, oczywiście, amoralne, gdy bestseller usprawiedliwia zabójcę” — mówi były konsultant — prawnik amerykańskiego komitetu swobód obywatelskich, Martin Harbus — „ale w naszych czasach najkrótszą drogą do zdobycia bogactwa jest przestępstwo i szczególnie wa relacja z jego dokonania”.

John Seck z „Esquire” protestuje: to nie dotyczy Colly'ego. Zdaniem Secka, „każdy Amerykanin, który ukończył 18 lat, może się znaleźć w skórze Colly'ego. Ale jednocześnie nie zaprzecza, iż na filmie, który aktualnie znajduje się już w produkcji, podporucznik zarobi dodatkowo 100 tys. dolarów...”

## Gangsterskie porachunki

„STERN” — HAMBURG

Barczyści, elegancko ubrani dzentelmeni nieśli tylko lekkie bagaże — nesesery, małe walizeczki i futerały od skrzypiec. Gdy weszli do kawiarni, na jednej z zachodnioberlińskich ulic, jej właściciel zdziwił się na głos: „Czyżby chcieli dać tu koncert skrzypcowy?”

Jednakże imprezę, którą nieco później zorganizowali owi wytwórni panowie, nad komisarz zachodniego Berlina, Georg Dams, nazwał późnie „spektaklem diabelnie ponurym”. Z futerałów, neseserów i walizek wyjęli oni ręczne karabiny maszynowe i stanęli przy oknach. Niebawem zajechały przed kawiarnię dwa „volkswageny”. Rozległ się pierwszy wystrzał. Był to sygnał do rozpoczęcia walki pomiędzy dwiema bandami gangsterów zachodniego Berlina.

Banda, którą dowodził Klaus Speer, pseudonim „Chłopiec”, doszła do wniosku, iż nie da się uniknąć krwawej rozprawy, jako że banda konkurentów, na czele z „Hassanem”, coraz częściej

mieszczą się do spraw tu byłych (pod nazwą „sprawy” rozumie się tutaj handel bronią i narkotykami, sutenerstwo, zyski z nielegalnych kasyn gry i domów publicznych).

Gwałtowna strzelanina trwała zaledwie kilka minut. Oba „volkswageny” podziura wiono kulami jak siła. Prze ciwnik, ratując życie, wycofał się z pola walki.

Przybyła na miejsce za jąc policja zastała już tylko ofiarę strzelaniny, leżącą na ulicy w kałuży krwi. W zabitym bez trudu rozpoznano syna miejscowego milionera, 22-letniego Achmeda Samari.

Policjanci uzbrojeni w broń automatyczną i ubrani w kamizelki chroniące od kul, przeczesują zachodnioberlińskie bary, domy publiczne, tajne kasyna gry i mieszkania przestępców. Na razie bez skutku. Jednakże zachodniobierliński świat przestępczy zamieł się po leci i nie odwetowej akcji bandy „Hassana”. Obawy te po dziela również prasa zachod

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ A. MAKOWIECKI — 1945 — noc bez władzy
- ★ A. HAMPPEL — Teatr studencki
- ★ Z. SZCZEPANIAK — Sylwester w Afryce oraz recenzje, felietony, nowela.

nioberlińska. „Dwustu gangsterów Hassana przyleciało już do Berlina Zachodniego, aby dokonać zemsty” — pi-

sze „Morgenpost”. — „Wal-ka może się rozpocząć w każdej chwili” — wtóruje mu „Bild”.

## Lekomania

„DAILY MIRROR” — LONDYN

Każdego wieczoru przed położeniem się spać pięć milionów Anglików zażywa środki nasenne. Te sensacyjne liczbę podał dziennikarzem sir Derrick Dunlop, przedstawiciel brytyjskiej komisji farmaceutycznej.

Jak utrzymuje Dunlop, sami lekarze przyczyniają się do tej niebezpiecznej pogoni za lekami. Przyto czył on jeszcze jedną oszałałającą liczbę: w ubiegłym roku wypisano w całym kraju ponad 6 milionów recept na lekarstwa, bez których pacjenci mogli się równie dobrze obejść. Stwierdzono, iż owe leki należą do kategorii tzw. „uniwersalnych” i nie dają efektów leczniczych, a w połączeniu z innymi, o czym lekarze nie mogą nie

wiedzieć, są wręcz szkodliwe.

Anglicy nabyli już takiego nawyku sięgania do domowej apteczki w każdym wypadku, czy to bezsenności, czy też chęci zrzucenia nadwagi, że — zdaniem specjalistów — najwyższa pora uderzyć na alarm przed „manią samoleczenia”.

Na tej ogólnej psychozie, przybierającej coraz większe rozmiary, żerują spekulanci. Wykupują oni w aptekach jakiegokolwiek tabletki, na które akurat panuje moda w świecie lekarskim, a łatwowierni „chorzy” — w wieku szosciu lat — w wieku dziesięciu — wykupują je na czarnym rynku nieraz po bardzo wysokiej cenie.

## Tajemnica „czarnej skrzyneczki”

Jedno z biur Krajowej Rady do Spraw Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych chroni tajemnicę tajnej korespondencji rządu USA. Zatrudnia ono 1700 pracowników. W zakres prac biura wchodzi wybór i opracowanie kryptograficznych systemów dla każdego urzędu państwowego. Ono również ogranicza czasokres użytkowania szyfrów i kodów, aby nie dać przeciwnikowi szans na ich rozwiązanie. Biuro zaopatruje ważne resorty państwowe w techniczne urządzenia szyfrowe i troszczy się o ich sprawne działanie. Obok tego ponosi odpowiedzialność za konstrukcję urzędów, uniemożliwiających podsłuch telefoniczny ważnych rozmów o znaczeniu państwowym. Jednakże głównym zadaniem biura jest opracowywanie coraz to nowych systemów szyfrowych, jak również nowych typów maszyn kodowych.

Zarówno po podsłuchu ze stratosfery, jak i do ochrony państwowej korespondencji Stanów Zjednoczonych, Krajowa Rada do Spraw Bezpieczeństwa używa jeszcze bardziej skomplikowanej aparatury. Do owych cudów elektroniki należą także „czarna skrzyneczka” prezydenta.

Ta niewielka skrzyneczka, pomalowana na czarno, podróżuje z prezydentem USA w dzień i w noc, dokąd by on tylko niejechał. Wozik ją i pilnuje, jak żenicycka, jeden z pięciu, specjalnie wybranych do tego celu, oficerów dyżurnych. Dyżur trwa okrągłą dobę. W „czarnej skrzyneczce” znajdują się kody, służące do natychmiastowego przekazania osobistego rozkazu prezydenta o uderzeniu atomowym.

Gdy prezydent pracuje w swoim gabinecie, oficer dyżurny z „czarną skrzyneczką” znajduje się w sąsiednim pokoju. W nocy dyżurny w sypialni Nixona w Białym Domu, albo — zależnie to od okoliczności — w doskonale strzeżonej nadmorskiej willi prezydenta na Florydzie, względnie w określonym apartamencie hotelu „Waldorf Astoria” w Nowym Jorku, gdzie zazwyczaj zatrzymuje się prezydent. Na plaży oficer dyżurny — anioł stróż „czarnej skrzyneczki” zjawia się w spodenkach i sportowej koszuli. Na pokładzie okrętu nosi uniform oficera marynarki. Kiedy Nixon gra w golfa w swoim klubie w Waszyngtonie, lub gdziekol-

wiek indziej, oficer dyżurny jest również przy nim, ubrany w spodnie sportowe i koszulę.

W lutym 1969 roku „czarna skrzyneczka” towarzyszyła prezydentowi Nixonowi w podróży po Europie. W Rzymie, papież Paweł VI zapytał prezydenta, czy ma ze sobą „czarną skrzyneczkę”. Nixon odpowiedział twierdząco. Za pozwoleniem Jego Świątobliwości wezwał on dyżurnego oficera — opiekuna (ubranego na tę okazję w granatowy garnitur wizytowy) do sali, w której odbywała się audyencja i przedstawił go głowie kościoła katolickiego.

Oficerowie dyżurni stanowią jednak nie tylko ochronę „czarnej skrzyneczki”. Dla dowódcy utrzymującego rozkaz o uderzeniu jądrowym są oni niejako gwarantami autentyczności rozkazu. Oficerowi, naciskającemu na atomowy guzik reza, że rozkaz pochodzi z rzeczywistości od prezydenta.

Kody „czarnej skrzyneczki” są „wielowarstwowe”, a to dlatego, aby do wykonawcy mógł dojść tylko i wyłącznie autentyczny rozkaz. Prezydent przekazuje rozkaz za pośrednictwem tej lamigłówekowej mieszanicy elektronicznej, przypominającej przekładaniec z claista, wiedząc, iż co najmniej jeden egzemplarz tego rozkazu dotrze do adresata. Nawet gdyby kraj już uclerpiął nie wiedzieć jak.

Rozkaz o uderzeniu jądrowym nadaje prezydent do dwóch oficerów, znajdujących się głęboko pod ziemią, w betonowym centrum dowodzenia rakietami balistycznymi. Obaj ci oficerowie mają kartki o wymiarach 3 na 5 cali, spoczywające w kopertach z plastiku. Zawierają one klucz do kodu „rozkaz o uderzeniu jądrowym”. Będąc na dyżurze noszą owe klucze do kodu zawieszane na szyi. Sygnał: „Leciec!” przekazuje się pilotom bombowców różnymi kodami. Po alarmie kierują się oni do uprzednio określonych celów.

Krajowa Rada do Spraw Bezpieczeństwa zabezpiecza także ochronę i innych systemów łączności, które zawsze — obrazowo mówiąc — prezydent ma pod ręką. W czasie podróży Nixona, elektroniczna aparatura łączności Białego Domu jest nakierowana na każde miejsce jego pobytu.

\*) Fragment z książki pt. „Sunderland” Andrewa Tella, wydawnictwo „William Morrow and Company Incorporated”, 1969.



Dalszy ciąg ze str. 1

filmu, pełnego nastrojów, pełnego melancholii i cichej rezygnacji, tutaj się nie zobaczy. Jest to więc zarazem jakby lekcja poglądowa: u nas inaczej, inaczej, inaczej.

### OBERHOF piątek 11 grudnia 1970 r.

Rano wyjazd autokarem do Oberhof. W Lipsku jemy obiad (pieczeń z dzika, niezbyt smaczna) i chodzimy po mieście. Nastrój przedświąteczny. Na placach wielkie choinki, stragany pełne ozdób choinkowych i wszelakich drobiazgów, w sklepach grupki kupujących. Zachodzę do Ośrodka Informacji Polskiej, ale nie zastaję kierownika, naszego znajomego z Łodzi — Hieronima Rejniaka. Ośrodek nowoczesny, ładnie urządzone, wśród czasopism widoczne także „Odgłosy”. Mała rzecz, a cieszy.

Do Oberhofu zajechaliśmy wieczorem, gdyż na autostradzie wydarzyła się katastrofa i mieliśmy godzinny postój. Mieszkamy w olbrzymim hotelu „Panorama”, zaprojektowanym i zbudowanym przez Jugosłowian. Obsługa hotelu, który oddano do użytku dopiero przed rokiem, częściowo cudzoziemska. „Panorama” posiada kształt skoczni narciarskiej, która znajduje się nieopodal. Putrament przyrównuje kształt hotelu do wielbłąda dwugarbego. Gisges do świerków. Lewin — do Giewontu, tylko w miniaturze, Lenart — już nie pamiętam, jakiego użył porównania.

Oberhof to niemieckie Zakopane: ta sama wysokość, ten sam, jedynie znacznie skromniejszy, widok na góry. W pokoju, w którym mieszkam, właściwie w dwuizbowym apartamencie, telewizor, radio, telefon, biurko do pracy i wszelkie wygody. Biorę kąpiel i kładę się do łóżka. Przedtem jeszcze włączam telewizor, idzie jakiś kryminał angielski, wyłączam telewizor, bo nie lubię kryminałów, włączam radio, gadają długo i nieciekawie, wyłączam radio, biorę gazetę, czytam i zasypiam.

### OBERHOF sobota 12 grudnia

Dziś zaczęły się rozmowy pomiędzy przedstawicielami prezydium Zarządu Głównych Związku Pisarzy Polski i NRD. Zagaja Gerhard Henniger, po nim zabiera głos Jerzy Putrament i ujmuję w trzech punktach temat naszej narady: a) znacznie wzmacnić wzajemną informację, b) wspólnie przedyskutować podstawowe problemy w zakresie krytyki literackiej, c) uzgodnić stanowiska naszych zarzą-

dów w sprawach interesujących pisarzy krajów socjalistycznych.

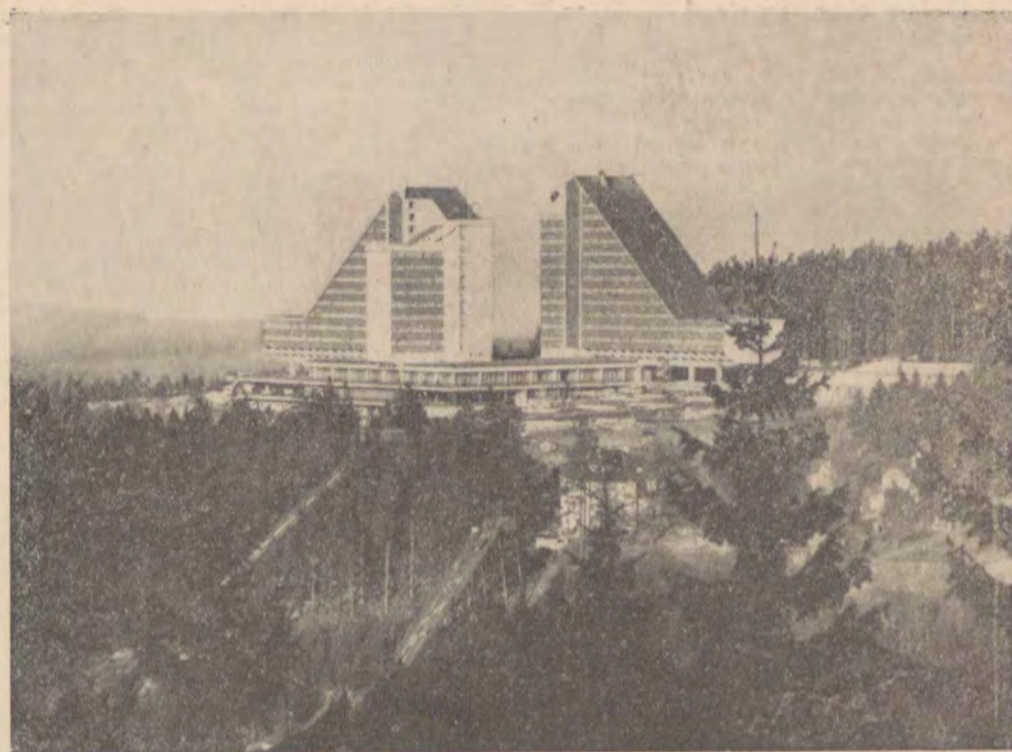
Ciekawa informacja Fritza Selbmana o zjeździe pisarzy zachodniemieckich w Stuttgarcie. Dowiedzieliśmy się, że związek tamtejszy, istniejący zresztą jako organizacja dopiero od roku, zresztą trzy tysiące autorów, że na zjeździe główne skrzypce grał Guenter Grass, Martin Walser, Heinrich Boell i Dieter Lattmann, że wziął w nim udział kanclerz Willy Brandt, który wygłosił 45-minutowe przemówienie, przerywane brawami, oraz że był tam Jarosław Iwaszkiewicz. Ale o tym wiedzieliśmy już wcześniej, Iwaszkiewicz pisał o wrażeniach ze zjazdu stuttgartarckiego w „Życiu Warszawy”.

## Dziennik podróży

Po obiedzie z naszej strony zabierali głos: Lenart, Lewin i autor niniejszego sprawozdania. Ze strony gospodarzy: Werner Neubert, Max Walter Schulz i Gerhard Henniger. Zaznaczyły się pewne różnice w ujęciu i ocenie niektórych zagadnień. Ale w głównych sprawach byliśmy zgodni. Wieczorem spacer po lesie. Lewin opowiadał ciekawie o swoich przeżyciach z okresu wojennego.

### OBERHOF niedziela 13 grudnia

Jerzy Putrament wyjechał do Berlina, skład odleci do Warszawy. Zostajemy w cztery. Dalszy ciąg narady. Informacje o pracy naszego Związku wygłasza Jan



Oberhof — Hotel „Panorama”

Maria Gisges, o sytuacji we współczesnej literaturze polskiej — Jan Koprowski. Mówię o nowych książkach Iwaszkiewicza, Putramenta, Kubackiego, Bartelskiego, Gisgesa, Huszczy, Jażdżyńskiego, Gomołickiego, Myśliwskiego, Jachimowskiego i wielu innych. Potem mówimy o przekładach. Z naszej strony pada pytanie: czy przekłady z literatury polskiej na język niemiecki są dostatecznie reprezentatywne i czy dają niemieckiemu czytelnikowi właściwe pojęcie o tym, co się u nas dzieje. Wywiązuje się dyskusja. Warto dodać, że w przekładach na język polski ukazało się w ostatnich dwóch latach kilkadziesiąt książek pisarzy niemieckich, zarówno klasyków jak i współcześnie żyjących. Jest to bardzo dużo, więcej w każdym razie, niż rzeczy polskich przełożonych na język niemiecki.

Pod koniec narady zabiera głos Lenart. Jego uwagi o realizmie socjalistycznym wywołują żywą reakcję u gospodarzy. Wypada kończyć, a tu właściwie dyskusja mogłaby się dopiero rozpocząć. Mamy nieco inne poglądy na zagadnienia rozwoju literatury, ale właśnie dlatego jest o czym mówić.

Zakończenie naszych dwudniowych roz-

mów stanowi jedynie przerwę. Spotkamy się znowu w lutym 1971 roku w Warszawie, aby podjąć przerwany dialog z pisarzami NRD. Będzie to sesja poświęcona problemom współczesnej krytyki literackiej zarówno u nas jak i na zachodzie Europy.

### BERLIN poniedziałek 14 grudnia

Powrót do Berlina. Jedziemy przez obszary, na których toczyły się w wieku szesnastym Wojny Chłopskie. Któryś z niemieckich pisarzy zauważa: „Gdyby inaczej potoczyły się losy tamtej wojny, nie byłoby w Niemczech Hitlera”. W Erfurcie zwiedzamy wspaniałą katedrę i chodzimy po mieście. Miasto schludne, dobrze zaopatrzone, wszystko pod znakiem świąt. Lewin poszukuje nożyc do strzyżenia psów. Nadaremnie.

W Weimarze jemy obiad i dzielimy się na dwie grupki. Gisges i Lenart chcą obejrzeć dom Goethego i Schillera, my z Lewinem dom Liszta. Ale mamy pecha: w poniedziałek muzeum nieczynne. Idziemy do parku, oglądamy „Gartenhaus” Goethego i podziwiamy (któryż to raz!) piękny pomnik Szekspira.

Opuszczamy Weimar w deszczu. Do tej pory dopisywała nam piękna, słoneczna pogoda. W Berlinie jesteśmy późnym wieczorem. Znowu ten sam hotel „Berolina”. Spać, spać.

### BERLIN wtorek 15 grudnia

Wizyta w ambasadzie. Krótka rozmowa z moim starym znajomym. Zjawia się z Lipska Hieronim Rejniak. Omawiamy wystawę w ośrodku lipskim książek Wydawnictwa Łódzkiego. W południe podpisanie umowy o współpracy naszych związków na rok 1971. Potem wspólny obiad. Siedzę obok Petera Edela, autora książki „Die Bilder des Zeuge Schattmann.” Jest to rodzaj autobiografii, głównie z lat wojny. Edel jest dobrym rozmówcą, ma poczucie humoru (rzecz rzadka jak diament), zna nielże sprawy polskie, siedział w obozie wraz z Polakami.

Po południu chodzimy po mieście. Mogę się teraz przyjrzeć Berlinowi. Od mego ostatniego tutaj pobytu postęp w budowie i rozbudowie. Alexanderplatz całkowicie uporządkowany. Hotel „Die Stadt Berlin” na trzysta pięter już funkcjonuje, czynny też nowy dom towarowy. Wszystko zbudowane solidnie (i tworzywo wykonanie wydaje się lepsze niż u nas), ale „zimne”. Ogromne gmachy, szerokie ulice robią wrażenie, to pewne, nie sprzyjają jednak temu, co wytwarza atmosferę ciepła, zbliżenia, zamieszkalności.

Wieczorem powrót do Polski pociągiem. Ostatnie rozmowy i pożegnania. Spotkanie było pożyteczne i potrzebne. Wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy i zrozumieliśmy, że osobiste kontakty są najlepszą formą wzajemnego poznania.

W wagonie wyciągam swego Schopenhauera i otwieram na chybił-trafił. Czytam: „Przez całe życie w posiadaniu naszym jest tylko teraźniejszość, nie więcej. Jedyne, co ją różni, polega na tym, że na początku mamy przed sobą długą przyszłość, a pod koniec za sobą długą przeszłość”. Refleksja ta pomaga spokojnie zasnąć.

JAN KOPROWSKI

Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs

## WIELCY ŁODZIANIE



DRODZY CZYTELNICY! Prezentujemy Wam serię sylwetek postaci historycznych, związanych z Łodzią. Zadaniem Waszym będzie odgadnięcie tych postaci. Zasady są takie same jak w konkursie „Czy znasz architekturę Łodzi” — w losowaniu nagród wezmą udział zarówno odpowiedzi tylko na jedno z zadań konkursowych, jak i na wszystkie prezentowane w ciągu najbliższych tygodni. Oczywiście, systematyczny udział w naszym konkursie zapewni uczestnikom większe szanse w losowaniu.

Odpowiedzi wyłącznie na kartkach pocztowych — należy nadsyłać na adres: „Odgłosy”, Łódź, Piotrkowska 96 — „WIELCY ŁODZIANIE”.

Wśród uczestników konkursu rozlosowane będą trzy główne nagrody w postaci bonów towarowych.

I nagroda — 2 tysiące złotych

II nagroda — 1,5 tysiąca złotych

III nagroda — 1 tysiąc złotych

oraz pięć wyróżnień w postaci cennych wydawnictw albumowych.

### ZADANIE KONKURSOWE NR 2

Nawet jego imienia nie możemy zdradzić Czytelnikom, ponieważ chodzi tu o jednego z najbardziej znanych królów polskich. Wstawił się ów król wielką bitwą, od niego to zaczęła się nowa dynastia monarcha w Polsce...

Ale dla Łodzi ważne jest to, że podpisał dokument „Locatio oppidi Lodzia quod antea villa Episcopatis”. Stało się to w Przedborzu 29 lipca 1423 roku i dzięki temu za trzy lata obchodziliśmy 550-lecie Łodzi. Jak się nazywał ten król i jaką dynastię zapoczątkował w Polsce?



Dalszy ciąg ze str. 1

wał naukę w technikach tego typu dla niepracujących. Przewiduje się też powołanie do życia nowych typów szkół. Będą to: średnie szkoły zawodowe, dające dyplomy wykwalifikowanego robotnika, a jednocześnie prawo wstępu na wyższe uczelnie, następnie jednoroczne zasadnicze szkoły zawodowe, po ukończeniu II klasy liceum ogólnokształcącego oraz trzyletnie licea ogólnokształcące dla pracujących, którzy ukończyli za sadniczą szkołę zawodową.

— Szkolnictwo zawodowe to obok kadry fachowców-pedagogów rów-

— W nieznanym tylko stopniu. Szkolnictwo ogólnokształcące ma przecież ważną rolę przygotowania kandydatów dla wyższych uczelni. Reforma struktury szkolnictwa licealnego trwa nadal i przeprowadzana jest pod kątem lepszego przygotowania absolwentów do wyższych studiów. Nowy program licealny wymaga nowoczesnych pomocy naukowych, pracowni z zapleciami, czytelni itd. W chwili obecnej warunki pracy są niewystarczające ze względu na dużą liczbę uczniów w klasach. Istnieje jednak w związku z postępującym niżem demograficznym, perspektywa zmniejszenia liczby klas, a w związku z tym powsta-

— Wspomniała Pani przed chwilą o niżu demograficznym?

— Właśnie do tego zmierzam. Poczynając od 1965 roku notuje się w Łodzi spadek przyrostu naturalnego, który według prognoz demograficznych pogłębi się jeszcze w latach 1971-1975. Dla przykładu: w roku 1965 liczba absolwentów szkół podstawowych wynosiła 14.500. W roku 1970 szkoły podstawowe ukończyło 12.800 dzieci, a w 1975 roku ukończy je tylko 8.000. Ten niż demograficzny oznacza z jednej strony lepsze warunki nauki w szkołach, a z drugiej — mniejszy dopływ kandydatów na wyższe uczelnie i na stanowiska pracy. Tak więc w tych warunkach

Ponad 70 procent dzieci łódzkich uczęszcza do przedszkoli i liczba ta stale rośnie. Ostatnio prowadzona w przedszkolach eksperymentalne klasy pierwsze.

Również w ostatnich latach, wprowadzono w łódzkich szkołach zajęcia pozalekcyjne. Dla dzieci trudniej i wolniej przyswajających wiadomości w klasach I-IV wprowadzono zajęcia wyrównawcze. Natomiast dzieci o wybitnych zdolnościach (klasy V-VIII) objęto zajęciami pozalekcyjnymi, rozwijającymi ich zainteresowania. Ma to na celu ułatwienie tym dzieciom wykrystalizowania zainteresowań i ewentualnego wyboru kierunku nauki w szkole średniej.

Kolejnym eksperymentem w zakresie szkoły podstawowej jest zorganizowanie z początkiem bieżącego roku szkolnego szkoły o przedłużonym dniu nauki. Szkoła taka powstała na Widzewie. Dzieci przychodzą tu rano bez teczek i jakichkolwiek pomocy naukowych i pozostają w szkole do wieczora, tu odrabiając lekcje i wykonując wszystkie czynności związane z nauką. Jeśli można wnioskować na podstawie kilkumiesięcznej praktyki, to system ten daje dobre rezultaty.

Te wszystkie poczynania powiązane są z konsekwentnym oddziaływaniem wychowawczym, kształtującym patriotyczne postawy młodzieży, wiążącym ją aktywnie w procesy socjalistycznych przemian w naszym kraju. W poważnej mierze pomagają na tym odcinku szkole działające na jej terenie ideeowo-wychowawcze organizacje młodzieżowe.

— Dotychczas mówiliśmy o jednej stronie szkolnego medalu — młodzieży. A nauczyciele? Te wszystkie zadania, realizacja reformy dotychczasowej i kontynuacja dalszych jej etapów wymaga przecież także dużego wkładu pracy i wysiłku nauczycieli. Mówiąc po prostu — spożywa na ich barkach.

— Oczywiście. Przede wszystkim wymaga to od nich stałego podnoszenia kwalifikacji zawodowych, ciągłego kształcenia się. Faktem jest, że łódzcy pedagodzy mają w skali krajowej kwalifikacje najwyższe. Uważamy jednak, że w warunkach ośrodka akademickiego, jakim jest

Łódź, stan ten jest niewystarczający. Dlatego należy dążyć do tego, by coraz więcej nauczycieli zdobywało wyższe wykształcenie, by uzupełniali wiedzę fachową. Notabene nasz Okręgowy Ośrodek Metodyczny bardzo dużo czyni w tym zakresie. Działający już drugi rok system kursów szkolenia długofalowego obejmuje na przestrzeni pięciu lat wszystkich nauczycieli kursami doskonalenia zawodowego. 500 czynnych nauczycieli podnosi obecnie swoje kwalifikacje na wyższych uczelniach. Dążymy do tego, aby w przyszłym roku akademickim powstała przy Uniwersytecie Łódzkim wieczorowa wyższa szkoła nauczycielska dla nauczycieli pracujących.

Zadania, które stoją przed łódzkiemi pedagogami są trudne i odpowiedzialne. Nauczyciele starają się wykonać je w coraz lepszym i pełniejszym stopniu. Wszystkie te sprawy były przedmiotem dyskusji i rozważań na zebraniach sprawozdawczych w szkołach, w szkolnych organizacjach partyjnych. Zebrania te pokazały niewątpliwie, że szkolne problemy szerzej podejmują podstawowe problemy życia szkolnego, działalność ci szkoły, że sprawy nauczania i problemy wychowawcze są głównym przedmiotem troski nauczycieli — członków partii.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

# Szkoła jaka jest potrzebna



niez i zaplecze materialne: warsztaty szkolne, sprzęt, maszyny itd. Jak wygląda sprawa wyposażenia tych szkół?

— Na przestrzeni ostatnich lat nastąpiła poważna poprawa w tej dziedzinie, w dalszym ciągu jednak istnieje potrzeba zaopatrywania warsztatów szkolnych w nowoczesny sprzęt, a także w materiały i surowce. I tu pomóc muszą zakłady przemysłowe, zainteresowane w kształceniu fachowców im potrzebnych. Zobowiązuje je zresztą do tego wspomniana już tu uchwała Komitetu Łódzkiego. Rozważa się także możliwości kooperacyjnego powiązania w ramach szkolnych z produkcją przemysłową.

Ocena stanu wyposażenia szkół zawodowych nie jest rzeczą łatwą. Prawie wszystkie znajdują się w nowych pomieszczeniach, w momencie oddania ich do użytku są w pełni wyposażone. Dla orientacji — w ostatnich latach przeznaczono na do wyposażenia w sprzęt i pomoce naukowe dla wszystkich typów szkół łódzkich ponad 49 milionów złotych z budżetu i około 43 milionów złotych z SFBSIL. Jednak dynamiczny rozwój techniki stwarza potrzebę ciągłej modernizacji bazy materialnej szkolnictwa.

— Czy położenie większego nacisku na szkolnictwo zawodowe oznacza, że średnie szkolnictwo ogólnokształcące zostaje liczebnie ograniczone?

nia lepszych warunków nauki. Przewiduje się stworzenie we wszystkich szkołach nowoczesnych pracowni do nauki języków obcych, języka polskiego, chemii i matematyki.

Reforma w szkołach licealnych trwa. W bieżącym roku szkolnym po raz pierwszy powstało osiemnaście klas pierwszych o profilu matematyczno-fizycznym i jedna klasa humanistyczna. W programach tych klas przeznaczono więcej godzin na realizację przedmiotów kierunkowych.

Stworzenie tych klas poprzedził eksperyment wprowadzenia do kilku liceów poszerzonego planu i programu z wybranego przedmiotu. Również w bieżącym roku wprowadzono do IV klas zajęcia fakultatywne. Polegają one na prowadzeniu zajęć w wybranych grupach: matematyczno-fizycznej, biologii i humanistycznej. W chwili obecnej dwa i pół tysiąca uczniów najstarszych klas licealnych pracuje w 137 grupach fakultatywnych. Dla uczniów, którzy zdecydowali się nie podejmować wyższych studiów, organizuje się szkolenie przysposabiające do zawodu. W latach 1971-1975 przysposobienie zawodowe prowadzone będzie w warsztatach szkół zawodowych, wyposażonych w odpowiednią bazę materiałową i wykwalifikowaną kadrę nauczycieli. Tym szkoleniem objęci będą również absolwenci liceów z lat ubiegłych, którzy nie dostali się na studia, a z braku kwalifikacji nie podjęli pracy.

poprawa wyników nauczania jest szczególnie ważna. Stosując nomenklaturę ekonomiczną do dziedziny szkolnictwa, można by powiedzieć, że i szkoły muszą przejść na gospodarowanie intensywne, którego efektem będzie zmniejszenie drugoroczności i odsiewu. A na tym odcinku nie jest najlepiej. Nasze szkolnictwo legitymuje się 70-procentową sprawnością, co oznacza że na 100 uczniów tylko 70 kończy szkołę średnią we właściwym terminie. W szkolnictwie dla pracujących jest jeszcze gorzej.

Opracowany przez władze szkolne system oddziaływania na poprawę wyników nauczania obejmuje wszystkie szczeble. Musi bowiem powstać jednolity system dydaktyczno-wychowawczy — od przedszkoli, poprzez szkoły podstawowe i średnie — aż do studiów lub pracy zawodowej, który pozwoliłby na złagodzenie progów istniejących między poszczególnymi typami szkolnictwa.

W tej dziedzinie dokonano już szeregu prób i eksperymentów. Łódź, jako pierwsza w kraju, wprowadziła przed trzema laty wcześniejsze zapisy dzieci do szkół podstawowych, badania wstępne oraz kierowanie przy szłych pierwszoklasistów, nie przygotowanych jeszcze do podjęcia nauki w szkole do ognisk wyrównawczych i grup przedszkolnych. Łódzki eksperyment został wprowadzony już w całym kraju, a w dziedzinie przygotowania przedszkolnego Łódź zajmuje dziś pierwsze miejsce w kraju.

JANUSZ DUNIN

# Wstęp do komiksologii

Nie wiadomo kiedy powstał, w początkowych formach znany był bardzo dawno, może tak dawno jak kultura ludzka. Historyjka obrazkowa — szereg po sobie następujących sytuacji jednej fabuły, namalowanych lub narysowanych, pozwala przekroczyć barierę, która, zdawałoby się, jest wyznaczona dla sztuk plastycznych przez ich naturę, umożliwia artystę komponowanie nie tylko w przestrzeni, ale i w

czasie. Do obrazków dołączano słowo, dłuższy podpis, wiersz — literatura stapiała się w jedno z plastyką. Z czasem powstał szereg schematycznych chwytów technicznych, pozwalających sugerować ruch, a nawet dźwięk, ba, pełen ekspresji hałas. Rozpowszechnił się zwyczaj umieszczania dialogów w dymkach wychodzących z ust rysunkowych postaci. Nie będziemy się spierać z

Andrzejem Banachem, ani z żadnym innym szacownym szperaczem, co do genezy gatunku. Wystarczy stwierdzić, że to co określono później an gieleckim nazwami „comics” i „comic strip” stało się zjawiskiem społecznym w Ameryce, a następnie w Europie dopiero w latach dwudziestych naszego wieku. Od tego czasu datuje się problem komiksu, fortuny jego twórców i dystrybutorów, a wreszcie jeremiady jego wrogów, organizujących raz po raz antykomiksowe krucjaty.

Bo mimo wszystkie swe możliwości komiksowa sztuka od razu ustawiła się na dnie hierarchii społecznej, czuła się tam świetnie i nie zabiegła o nobilitację. Wulgaryzm pomysłów, płaskość żartu, brutalność sensacji, ekliwy schematyzm, to wszystkie grzechy pierworodne tego gatunku. Komiks stał się nie tylko amerykańskim towarem eksportowym, ale i wizytówką tej kultury, którą elitarna Europa od

rzuciła. Wiercono, że ogłupia on dzieci a demoralizuje starszych. A jednak zaraza się szerzyła. Komiks okazał się gatunkiem żywotnym. Odradza się w różnych sytuacjach. Powstaje nie tylko w krajach anglosaskich, ale we Francji, NRD, na Węgrzech, a nawet w Chinach.

Jednak nasz sposób myślenia o komiksie pozostał bez zmian. Można go użyć do wyższych celów, wolno na nim zarabiać pieniądze, ale trzeba nim pogardzać. Przed laty próbowałem zebrać materiał do historii komiksu w Polsce, ruszyłem szlakami dziecięcych lektur, „Karuzel”, „Gazetki Miki”, „Świata Przygód”, „Wędrownica”. Natknąłem się na ład wspomniany, na którego terenie czekały niespodzianki...

Kiedy ostatnio dobry los pozwolił mi przez ponad dwa miesiące wędrować przez biłoteki, księgarnie i księgarnieki, zatrzymywałem się przy kioskach ulicznych i dworcowych

Holandii i Belgii, zauważyłem, że tam w światku rysowanych ludzików dzieje się dziwne rzeczy — odżyła pasja komiksologia.

Zmiany, jakie zachodzą w ostatnich latach w kulturze masowej Zachodu, nie pozostały bez wpływu na comic strip, który dobiegł właśnie lat męskich. Postarzał też dawni czytelnicy historii o Myszce Miki czy Supermanie. Pierwszym wrażeniem, jakie odnosi się w kioskach czy księgarniach, to, że komiks przeżywa pewien kryzys — jest naturalnie obecny, ale wśród tylu dziwnych czasopism i książek — jakby zepchnięty. Nadaje tutaj ton krzyżujący seks na okładkach pism i artystycznych albumów, poradników wszelkiego rodzaju „miłości”. Myszka Miki przycupnęła w kątku. Serie komiksów fotograficznych, które przeżywały kiedyś swoją popularność, jakby umarły, pojawiają się tylko czasem ich pornograficzna wersja. Działa

tu zapewne konkurencja telewizji, która jest tu głównie nastawiona na tego samego odbiorcę co i popularny comic strip. Charakterystyczne jest, że najpopularniejsze obecnie serie to przygody znanych z telewizji bohaterów Bonanzy, kota Dżingisa, krokodyla Walleya Gatora i ich przyjaciół i konkurentów. Mniej popularne są komiksowe wersje klasyków z pewnym też trudem udało mi się znaleźć amerykańskie Jungle War Stories stanowiące gloryfikację akcji wspaniałych blond-chłopców w czerwonych beretach, którzy w dżunglach Laosu stają oko w oko z okrutnymi i odrażającymi kreaturami o mongoloidalnych rysach. Przynajmniej w Europie ten nurt politycznego komiksu nie wydaje się istotny.

Co prawda specjaliści od wychowania przez książkę upierają się przy tezie, że przytaczająca większość dostępnych w Holandii i Belgii comic strip to utwory plasty-



KSIAZKA O KSIAZKACH

Nie należy zaliczać książek raczej książeczki — tak szczerzy jest ona rozmiarów — Janusza Wilhelmiego „Słowa — rzeczy — krajobrazy” ani do rzędu krytyki literackiej, ani do rzędu recenzji. Nie należy jej przyćmiewać żadnej etykiety. Warto natomiast przeczytać te notatki cyfrowe na marginesach książki znanych i mniej znanych, na marginesach artykułów i polemik, z telewizyjnych spektakli. Notatki na wskroś subiektywne — i tym ciekawsze. Notatki wreszcie, które są jak za czyn drożdżowy, na którym rozwijać się mogą dalsze przemyślenia czytelnika. Mamy bowiem do czynienia niejako z konsekwentnym oddziaływaniem i poglądów autora dostatecznie jednak obszernych, aby stworzona została platforma do dyskusji i wniosków. U podstaw krytycznych uwag Wilhelmiego leży głęboko zakorzeniona świadomość ciągłości kultury i silne poczucie związku tego, co jest dzisiaj, z tym co było wczoraj i co jest zamierzłą historią.

Zakres tematyczny szkiców — notatek, pomieszczonego w książce jest obszerny, a ranga artystyczna omawianych pozycji bardzo różna. Łączy je jednak wspólna cecha — współczesność w kulturze. Wilhelmi z reguły nastawiony jest krytycznie, ale krytycyzm ten wynika z nieustannego poszukiwania autentyzmu. Autentyzmu myśli i przeżycia. Autor daje wyrazie do zrozumienia, że sztuka współczesna nazbyt często zapomina w swoich awangardowych manifestacjach, iż kiedyś istnieł już na świecie bluźniercy i obrzoburey wielkiej miary. Ze między bluźnierstwem a bluźnierstwem istnieje zasadnicza różnica. Liczą się w końcu tylko te bluźnierstwa, że łamania kano nów i utartych zwyczajów, które wynikają z miłości. Z miłości do prawdy przede wszystkim. I z prawdziwego, nieklamanego wrzucenia. Wszystkie inne są pustym, irracjonalnym krzykiem papugi.

A. G.

Janusz Wilhelm, „Słowa — rzeczy — krajobrazy”, PIW, W-wa, 1970, cena 12 zł.



## Miasto krawców „mężczyznianych”

SAMOTNY ŻOŁNIERZ NIEMIECKI Z TĘPA WSCIEKŁOŚCIĄ SŁAŁ Z CEKAEMU OSTATNIE SMIERCIONOSNE POCISKI W MIASTO. W PEWNYM MOMENCIE MIESZKANCY USŁYSZELI POTĘŻNĄ DETONACJĘ I WIEŻA WRAZ Z OSTATNIM WROGIEM RUNĘŁA POD GASIENICE CZOLGÓW, KTÓRE MIAZDZIŁO JEGO CIAŁO SZYBKO SUNĘŁY W KIERUNKU ŁODZI.

Nie każdemu miastu zostało dane przeżyć tak efektowne wyzwolenie. Człowiek, który stracił w wieży kościelnej ostatniego hitlerowca, skwitował niejako tym symbolicznym gestem wielki rachunek krzywd. Właśnie temu miastu takie zadośćuczynienie najbardziej się należało. W czasie pięciu letniej niewoli faszyści Niemiec wymordowali połowę ludności Brzezin. Przed wojną miasteczko liczyło 16.000 mieszkańców, po wyzwoleniu zostało jedynie 8.000.

Mineło od tamtego czasu 26 lat i właściwie liczy nie wiele więcej, gdyż zaledwie 9.000. Początkowo było jeszcze gorzej, brak stałej pracy, brak jakichkolwiek zakładów spowodował, że ludność Brzezin, natychmiast po zakończeniu wojny, zaczęła masowo emigrować do Łodzi i na Ziemię Odzyskaną, tak że w 1948 roku zostało już tylko 6.000 mieszkańców. Wydawało się, że Brzeżyn już w ogóle nie zdołają się podźwignąć z upadku. Istotną przyczyną hamującą odbudowę i dalszy rozwój miasteczka był brak połączenia kolejowego.

Znane były jako miasteczko krawców i szewców. Brzeżynscy krawcy „mężczyzniani” bili osobliwe rekordy w swoim fachu; potrafili w ciągu dwudziestu minut uszyć spodnie za 80 groszy. Można tu było uszyć cały garnitur męski za dwa złote — najtaniej w Polsce. Ale i również za 75 złotych — najdrożej w Polsce.

Prasa ówczesna pisała o Brzeżinach jako o ośrodku „białych Murzynów”. Istniał jeszcze inny związek Brzeżyn z Afryką. Otóż wyroby tutejsze szły na rynki zachodnioeuropejskie, a stamtąd były reeksportowane na kontynent afrykański. W tym sensie można powiedzieć, że sława Brzeżyn jako miasta krawców była faktycznie światowa. Solendor z tego tytułu spływający na miasteczko, jeszcze dziś stał się przedmiotem dumy tutejszej ludności. Jednak w chwili obecnej brwinate chaluportność wchłonięte zostało niemal całkowicie przez spółdzielczość i państwowy

przemysł odzieżowy. Dawni krawcy, a raczej ich dzieci i wnuki, pracują teraz w Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Damina” i w Spółdzielni im. Marcelego Nowotki oraz w dość oryginalnym i jedynym przedsiębiorstwie w kraju, szyjącym eleganckie mundury strażackie.

Jak widać, tradycje krawieckie, w zmienionej co prawda postaci kontynuowane są nadal. Te najlepsze w zakładach państwowych, te mniej dobre — w spółdzielniach. Zakłady „Damina” (co oznacza ta tajemnicza nazwa sam dyrektor nie wie) nastawione są na produkcję konfekcji damskiej, należą do „Klubu Eksporterów”, a więc do owej elity stu zakładów w kraju, które ponad 50 proc. swej produkcji wysyłają za granicę. Załogę „Daminy” stanowią w większości kobiety, dyrektorami są natomiast mężczyźni. Spośród młodych dziewcząt dojeżdża do pracy w zakładach z okolicznych wiosek. W przypadku mężczyzn ta dojeżdżająca grupa nosi miano chłopów-robotników. Ale jeśli chodzi o kobiety, to z określeniem ich mam kłopot. Chłopy-robotnice? Chłopy-robotnice? Z początku stanowiły one dla zakładów problem nie tylko językowy, pracowały wyłącznie na ciu chy i szminka, więc nie były zbyt wydajne. Wystarczyło, że zarobiły 1.200 zł miesięcznie, a szczęście ich było pełne. Pewnego razu dyrektor Śmiechowicz zebrał je i powiedział otwarcie: „Ta z was, która nie zarobi w tym miesiącu minimum 1.600 złotych, zostanie zwolniona z pracy”. Może nie było to zbyt demokratyczne, lecz poskutkowało: dziś za rabiają one średnio 1.800—2.000 złotych miesięcznie i ani im się śni zarabiać mniej.

O wiele gorzej, niestety, dzieje się w Spółdzielni im. Marcelego Nowotki. Ta stara spółdzielnia odzieżowa (powstała w 1936 roku), przeżywa pewne trudności. Rynek odzieżowy jest ostatnio, jak widać, dość dobrze nasycony. Klienci stałi się wybredniejsi, byle czego nie kupują, więc prze-

mysł konfekcyjny musi się do tej sytuacji dostosować. Jakość ubiorów szytych przez brzezińskich krawców, skupionych w spółdzielni, widocznie pozostawiała wiele do życzenia, gdyż spółdzielnia przestała otrzymywać zamówienia od handlu. Powstała więc koncepcja przejścia spółdzielni pod zarządek państwowy.

Dyrektor „Daminy” oświadczył mi, że, owszem, Zakłady zgodzą się przejąć spółdzielnię z całym dorobkiem inwentarza, ale spółdzielcy będą musieli się pogodzić z surowszą dyscypliną pracy i ze zwiększonym reżimem produkcyjnym. W zamian za to każdego pierwszego czeka pracowników przy kasie co najmniej o pięćset złotych większa przyjemność.

„Damina” szyje przeważnie odzież damską, modną, nowoczesną, sprzedaje na Wschód i na Zachód, za ruble i za dolary. Zakłady są operatywne, w szybkim tempie dostosowują swą produkcję do zmiennej i kapryśnej mody damskiej.

Ale dyrekcja „Daminy” (Zakładów, które godnie przytrzymują stare tradycje brzezińskich krawców oraz potrafią rozwiązywać szereg kwestii produkcyjno-socjalno-finansowych) nie może od wielu lat załatwić jednej prostej sprawy. Otóż chodzi o zwykły przystanek autobusowy w Kolszkach, skąd wiele osób dojeżdża do pracy w Brzeżinach. Autobusy dowożące ludzi do pracy zatrzymują się tam w ogromnej kałuży błota i codziennie od lat setki ludzi muszą brodzić w tym bajorku, ażeby wsiąść do samochodu. Podobno nikt tego nie może załatwić, wszyscy są bezsilni. Zwrócił się do mnie z tym dyrektor handlowy Zakładów („może prasa nam pomoże”), człowiek, który podpisuje wielomilionowe transakcje, a w tej materii jest bezsilny. Ja mu wierzę.

No, ale Brzeżyn to nie tylko jeden rozkwitający zakład — jedna kończąca się spółdzielnia oraz przystanek autobusowy w Kolszkach. Ze zrezygnowanego miasteczka, które szybko chyliło się ku upadkowi, Brzeżyn jednak podźwignęły się. Wprawdzie linia kolejowa w dalszym ciągu nie ma, lecz komunikacja ze światem rozwiązuje przeszło 200 autobusów, które codziennie tędy tranzytem przejeżdżają. Świetnie też zorganizowany jest w Brzeżinach handel. Dobre zaopatrzenie, wyposażenie i urządzenie sklepów lepszemu niejednokrotnie niż w Łodzi. Miasteczko jest małe, parterowe i schludne, choć większość drewnianych domków pamięta jeszcze wojnę rosyjsko-japońską. Powoili, lecz skutecznie rośnie nowe osiedle bloków mieszkalnych, drugie osiedle — domków jednorodzinnych — rośnie mniej skutecznie, gdyż są kłopoty z właścicielami gruntów, z wykupem.

Podobno na całym globie są trzy restauracje „Brzezińnianki”, jedna w Paryżu, druga — w Londynie, trzecia — w Nowym Jorku. Tak przynajmniej twierdził jeden z miejscowych patriotów, właściciel 1/7 części cegielni, z którym byłem w miejscowej „Brzezińniance”, zwanej dla odmiany „Złotym kłosem” lub „Lotosem” — na piwie. W dawnych wiekach Brzeżyn słynęły z jakości tego napoju.

Jeżeli idzie natomiast o problematykę kulturalną miasteczka, to ją dyskretnie przez delikatność i sympatię dla mieszkańców omiamy. Jak żył jeszcze znany aktor Jerzy Cwikliński — to częściej tu przyjeżdżał z monologiem pod tytułem „Strażak”. Czasem zagląda tu pan Strzelecki, który jest chyba najbardziej żarliwym krzewicielem poezji w naszym województwie. Raz był tu nawet Wańkowicz oraz pewien dziennikarz, specjaliści zający się w opowieściach z wojaży do dalekich krajów, które zna wyłącznie ze słownika geograficznego.

Brzeżinom brak sali te-

atralnej, dlatego teatry raczej omijają to miasteczko, ale nie omija „Estrada”. Z przybytków kulturalno-oświatowych warto wspomnieć o nowej, ładnej bibliotece.

Brzeżyny są miastem znany, starym, lecz ich prawdziwy rozkwit przypadał gdzieś w epoce Renesansu. Później każda kolejna wojna je miazdżyła i wyniszczała, łącznie z ostatnią, podczas której 60 procent mieszkań legło w gruzy. Przez pierwsze powojenne dziesięć lat nie wybudowano tu ani jednego domu. Ani jednego domu również nie wyremontowano. Do remontów przystąpiono po raz pierwszy dopiero po 1956 roku. Powstało na miejscu Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane. Uratowało ono rzeczywiście wiele izb przed zniszczeniem. Przez kilkanaście lat bardzo ładnie się rozwijało i rozrastało ku ogólnemu użytkownikowi i zadowoleniu wszystkich mieszkańców, aż o to, w tym roku, w ramach koncentracji, dyrekcję przedsiębiorstwa przeniesiono do Tomaszowa. Miejsce we władze stoczyły heroicz-

na batalię, lecz poniosły, nie stety, druzgocącą klęskę.

Chodząc po pustych (ale ogrzewanych) biurach MPRB, oglądałem ładne i po gospodarsku urządzone ślusarnie, stolarnie itp. Smutny to widok oglądać, jak dorobek wieloletnich troskliwych zabiegów stoi nie wykorzystany i powoli niszczeje. Szkoda, żeby się zmarnował. Przyszłość trzeba, że jest na razie zabezpieczony, pilnowany, ale to już nie to samo.

W doświadczeniach przez los i historię Brzeżin, gdzie każdy najdrobniejszy sukces leczy mieszkańców z malomiasteczkowych kompleksów niższości, przeniesienie dyrekcji tego przedsiębiorstwa do Tomaszowa przyjeździe z dużym rozgoryczeniem. Może by to się jeszcze udało naprawić?

Mieszkańcy Brzeżin to ludzie pracowici, skromni, uczynni, warto w ogóle o nich pamiętać, zasługują na pomoc. To miasto, wiele przeszło i przecierpiał i właściwie do tej pory nie otrzymało żadnej rekompensaty.



cznie słabe, pełne pedagogicznych błędów, paczące przynajmniej gust, a często ogólnie rasowe, nacjonalizm, wywołujące skłonności sadystyczne. W samym świecie komiksów znalazły się nowe zjawiska. Po robionych niesłychanie sprawnie rysunkach ze studia Disney'a i szeregu lepszych — gorszych ich naśladowań, pojawił się nowy nurt — historyjki aluzyjne, bardziej skrócone, rezygnujące często z jednoznaczności i ostrych efektów (na naszym terenie przedstawicielem tego lirycznego gatunku jest prof. Filutek). W roku 1950 Charles Schultz, autor Orzeszków — Peanuty wysłał do prowincjonalnej gazety historyjkę o dzieciach i psie, rysowana jakby niedbale i nie rokująca nadziei na większą karierę. Dziś, nie licząc wielu wydawnictw książkowych, serie Schultz'a czyta około 100 milionów czytelników w tysiącu gazet.

W ostatnich latach do kontrataku przystąpiła Europa. Komiks francuski zdobywa sobie rynki światowe, ale nie jest to już ta skromna historyjka dla maluczkich. Papier, technika drukarska, okładka świadczą, że nie prasowy kiosk jest jej przeznaczeniem.

Tradycyjnemu comic strip najbliższą atmosferą jest kilkutomowa historia o Galu Asterixie, przeznaczona dla dzieci od lat 10 do 100. Do wspaniałych Gościnnego (autora uroczych „Rekreacji Mikolajki”) i zabawne ilustracje Uderzo zapewniły sukces również poza Francją. Poza Orzeszkami bodaj jedynym do komiksów, który jest bez oporów polecany do społecznych bibliotek dziecięcych. Ktoś zauważył, że przy całej tradycyjności Asterixa ożywił go duch parodii. Obdarzony nadludzką siłą Galijczyk przeciwstawia się w rysunkowej opowieści potęgą świata tego — cesarstwu rzymskiemu, ba, nawet władcy starożytnego

Egiptu, Kleopatrze. Cała historia pełna jest przepysznych anachronizmów i aktualnych aluzji. Narodowy charakter Galijczyka, jego esprit dokonały tego w komiksie, czego inny wysoki Galijczyk dokonał w polityce — został przełamany monopol za Oceanu.

Inne próby francuskie były bardziej rewolucyjne. Wprowadzono erotykę i ironię. Rysunek wysubtelniał, rozpoczęła się pogoda za efektami stylizacyjnymi. Odkryto zbieżność między techniką komiksową, a nowymi kierunkami sztuki — zwłaszcza pop-artem i neosurrealismem. Jedynie wstępem do tych igraszek była „Barbarella” (1964) Jean Claude Focresty, następne próby idą dalej: „Pravda” Thomasa i Pellarta i secesyjna „Valentina” i wreszcie suma doświadczeń komiksów „Saga de Xam”, zrealizowana przez Nicolas Devila. Te kosztowne książki („Saga” około 20 dolarów) są zwykłe do nabycia w specjalnych sklepach jak na przykład

„Ulysses” w Hadze, które określone są tam mianem awangardy, a zawierają wszystko to, co może razie mieszczącego odbiorcę zwykłej księgarni. A więc obok komiksów manifesty skrajnych grup politycznych i literackich, seksuologia teoretyczna i stosowana, mętne religioznawstwo, plakaty i druki hippisów. Komiks „awangardowy” nasycony jest erotyzmem i okrucieństwem bardziej niż komercyjna historia konwencjonalna, które zawsze musiały się liczyć z cenzurą i tzw. opinią publiczną, jest on zarazem manifestacją artystycznej żywotności i szerokiej możliwości gatunku. Naturalnie Ameryka nie jest skłonna oddać bez walki pierwszeństwa w sztuce, którą dotychczas pogardzano, ale przecież zawsze uważano za narodową specjalność. Powstają konkurencyjne „Vampirella” i przygodny Phoebe Zeit Geist. Ta ostatnia historia to niewiarogodne wprost spięcze

nie erotyki, sadyzmu i złego smaku.

Tworząca moda na historyjki rysunkowe wśród tak zwanych wyższych sfer ma różnorakie źródła. Oto dla wielkiej rzeszy ludzi w średnim wieku wyprawa do krainy komiksów jest wycieczką w pełen uroku świat własnego dzieciństwa. Ta tęsknota do własnej młodości powołała do życia dziwny masowy ruch kolekcyjny. Na specjalnych aukcjach dawne komiksy uzyskują poważne ceny. Pojawiają się specjalne antykwiariaty i wydawnictwa. Jest ich już bardzo wiele. W Stanach Zjednoczonych powstała nawet instytucja o charakterystycznej nazwie „No stalgia Press”, która do bibliotek domowych przygotowuje luksusowe edycje dawnej komiksowej klasyki.

W zeszłym roku z wielkim rozmachem obchodzono czterdziestą urodzinę Myszkę Miłki. Wydano okolicznościowe druki, pełnometrażowy film ze-

stawiony ze starych tań, wśród kilku pokoleń cieszył się znacznym powodzeniem.

Pogardzany rodzaj sztuki pretenduje do własnej historii, legendy, awangardy. A równocześnie traci nieco swój dawny, bez troski dynamizm.

☆

Problemy komiksologów mogą wydać się nam ciekawostką bez znaczenia, gatunek ten bowiem nigdy nie odgrywał u nas większej roli i zapewne niewiele z światowego w tej dziedzinie dorobku warto zaprezentować naszemu czytelnikowi. Alści może warto zwrócić uwagę na możliwości gatunku i zdobyć przynajmniej podstawowe informacje, a wówczas potrafimy być co najmniej od kopiowania najgorszych wzorów amerykańskiego komiksu naturalistycznego.



Przecież mnie dawno nie ma, choć formalnie wciąż jeszcze jestem tu obecna, wciągnięta do ewidencji, ze stałym adresem pocztowym. Fast Berlinerin, Fräulein gniewała się, gdy tak mówiłam. Mogłam pisać listy i otrzymywać listy, dwa razy w miesiącu wolno mi było pójść do kaplicy na niedzielne nabożeństwo. Wolno mi było także uważać się za mieszkankę stolicy najpotężniejszego w tej chwili na świecie mocarstwa. A teraz wszystko stało się cudownie zwyczajne i proste. Pojęcie czasu skurczyło się: do przyścia księdza Lavendela. I tylko pojęcie przestrzeni rozciągnęło się trochę: na obszerny i osobny półoj. Aby śmierć mogła się w nim zmieścić. Właściwie po co? To będzie tylko błysk, króciutki błysk i jeszcze zgrzyt metalu, którego już nawet nie usłyszę. Jakby ktoś odsunął ciężką zasuwę, żeby wpuścić tro-

czy były suche, nawet nie zaczerwienione, bo nie płakała nigdy, chyba kiedy spałam.

— Sądziś, że to możliwe?

Nie uwierzyła, ale powtórzyła jeszcze raz, po niemiecku.

To zupełnie możliwe — powiedziała.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

Byłam kiedyś na Zugspitze, jeden dzień, wiesz, z całą klasą. To także Alpy. Przecież widziałas Alpy, powiedziała.

Ksiądz Lavendel na pewno teraz nie przyjdzie. Zupełna ciemność, nawet sufit wydaje się czarny. Kiepska pora do składania wizyt. Chwile, jak ta, usposabiają tylko do rozmyślań. Można przecież zapomnieć, że łóżko twarde i że niczego nie zobaczę za oknem. Gdyby tak nie bolały plecy, łatwiej przyszedłoby mi uwierzyć, że mnie już dawno nie ma. Moją ma-

Wysiedliśmy na dworcu w Bazylei i pojechaliśmy taksówką do hotelu. Właściwie nie był to hotel, raczej tani punkt noclegowy pod szumną nazwą pensjonatu. Schody okropnie skrzypiały i w pokoju, za zasłonką, stała emaliowana miska do mycia i metalowy dzbanek z wodą. Zagłówek mego łóżka miał błyszczące, złociste galki i wszystko błyszczało czystością. Nawet czoło właścicielki błyszczało jak kawałek poniklowanej blachy. Balam się czegośkolwiek dotknąć w tym pokoju, stawałam przy oknie, a ojciec zniknął gdzieś na długie godziny, wracał, gdy już spałam, spędziłam w Bazylei trzy dni, ani razu nie wyszłam do miasta. Tak bardzo chciałam wtedy umrzeć, przed zaśnięciem długo się modliłam, potem leżałam z zamkniętymi oczami, ale sen przychodził szybciej od śmierci, słyszałam kroki ojca, uchylał okno i palił w nim papierosa, później

dokąd pojedziemy, były tylko opuścić wreszcie Bazyleę z jej polichromowanymi kamienicznymi kupać, co wiedziałam z przewodnika. Ojciec był wciąż niezdecydowany.

Moja kuzynka, Dora, zaopiekowała się panienką. To bardzo dobry ludźcie, zapewniła ojca właścicielka i to przekonało go wreszcie. Dala mu list polecający, który złożył na czworro i schował w wewnętrznej kieszeni marynarki. Rano obudziła nas, za oknem było jeszcze ciemno, pociąg do Neuchatel odczekał bardzo wcześnie. Ojciec poprosił o sprowadzenie taksówką i zanim zdążył dopiąć nasze walizki, zgłosił się po nie kierowca, który zasalutował po żołniersku. Ojciec roześmiał się.

Co oni wiedzą o wojnie, to kraj zegarmistrzów. Widocznie służył kiedyś w policji, tłumaczył mi na schodach.

Był chyba też zadowolony, że opu-

mi nie wybaczyła. Nietrudno puszczając w niepamięć drobizgi, ale gdy się kocha naprawdę, trzeba akceptować wszystko bez wyjątku, choćby to bolało najmocniej. Zresztą w dzisiejszych czasach jednostkowa śmierć jest właściwie bez znaczenia. Nikt jej nawet nie spostrzeże, prócz tych, których bezpośrednio dotyczy. Gdyby Ju udało się uciec do Szwajcarii, nie musiałabym teraz tak wspominać. Wciąż ten czas przeszły, który nie pozwala nam myśleć o jutrze.

Ju miała słusność, nigdy nie potrafiła zrozumieć. Przecież nie byłam ścigana i nie szukałam schronienia na stacji podziemnej kolejki. Mogli mnie każdego dnia wygarnąć w ulicznej lapance, ale nie posyłał za mną umyślnych agentów, nie dawali też listów gończych. Gdybym potrzebowała chleba, nikt by mi go nie odmówił. Straszne miasto, ten Berlin, co tu się stało z ludźmi.

Tego ojciec nie przeczył, z Berlina przysłał mi pocztówkę. Znaczek na pocztówce także pamiętam: czerwony, z wizerunkiem biegącego mężczyzny. Biegacz trzyma przed sobą zapaloną pochodnię. Pochodnię, a tu już muszę siedzieć po ciemku, nie mam choćby ogarka. Ale na Alexie było jeszcze gorzej, chociaż poznałam Ju.

Kiedy wszyscy spali spoglądałam na niebo. Skrawek, jakby znajomy, nie większy chyba od pocztówki, takie małe były tam okna. Przed zmlerchem niebo na Alexanderplatz zasnawało się chmurami, każdego dnia, z pobliskiego kościoła dochodził dźwięk dzwonów.

Słyszysz? obudziłam kiedyś Ju. Usiadła na chwilę, ale zaraz położyła się znowu, myślałam, że usnęła.

Może to Marienkirche, nie wiem, mieszkałam w innej dzielnicy, przemówiła nieoczekiwanie. Sennym gosem, moczując się ze znużeniem. Dzwonów nie było już słychać, ale wydało mi się że bije zegar i Judith też słyszała.

Nie wiem, powiedziała, ziewając, może to ratuszowy, a może na jakimś kościele.

Chciałabym kiedyś zobaczyć ten kościół i ten zegar bijący na wierzchu, powiedziałam.

Ale Judith milczała i wszystko było wokół uspięne, nawet wachtmanki drzemały w swoich kioskach. Zacheł mi się spać.

Czy oni tam, w Warszawie, czy oni zostawili jakieś kościół? zapytała ociężale Judith.

Warszawa, musiałam tam jeszcze coś zostać, przecież oni nie ośmielią się burzyć kościołów. Ale nie powiedziałam tego.

Ju, spytałam, musiałam to przecież wiedzieć, czy wierzysz w coś po śmierci?

Po śmierci? Judith już nie spała, zaśmiała się jakos przeraźliwie.

Kiedyś ci powiem, jak tam jest, znów będę pierwsza.

Śmiała się tak, że wszystkich musiała pobudzić. Ale nagle przestała i cisza była jeszcze groźniejsza od jej śmiechu. Judith też przerażała się tej ciszy. Musiałam coś powiedzieć.

Komuniści nie wierzą przecież w Boga.

Wcale nie chciałam dotknąć Judith, tylko nie mogłam znieść tej ciszy i Ju nie obraziła się na mnie, zrozumiała. We wszystkim była kraciawa, nawet w przebaczeniu.

Po śmierci? Oczywiście, że wierzę. Jej głos był tkliwy, Judith nie miała, Judith z rozmarzeniem śpiewała starą balladę, tyle że bez melodii. Miałam wrażenie, że zaraz wstanie i przy księżycu zacznie czesać swoje włosy.

Oczywiście, że wierzę, powtórzyła, świat nie kończy się przecież tylko dlatego, że nas nie ma, nie zaprowadza go pod gilotynę.

Fragment powieści pt. „Zwycięstwo”.



KONRAD FREJDLICH

# Judith



Rys. A. Grun

chę światła, tylko w odwrotnej kolejności.

Na Frauenstation było znacznie gorzej, wtedy na Alexie. Tam jeszcze żyłam, w każdym razie chciałam żyć. Do Berlina jechaliśmy tak długo, odczepiali nas gdzieś na bocznicach i policjant rzucił mi paczkę sucharów. Po aresztowaniu nie zmrzyłam oka, huczało mi w głowie, a przecież mimo wszystko chciałam żyć. Trochę ze względu na rodziców, właśnie dla nich. I może odrobnie we własnym imieniu kolatała się we mnie ta nie pohamowana żądza przetrwania, instynkt życia, nad którym w pierwszej chwili trudno zapanaować. Jest silniejszy. Bo byłam zmęczona, ślaniałam się na nogach. I jeszcze ciągle niczego nie umiałam wybierać świadomie.

Wtedy nie miałam także przecucia swojego wyboru. Tylko matki miewają przecucia, ale nigdy nie byłam matką. Zwłaszcza w stosunku do synów, tylko nikt tego nie słucha, polityka nie jest sprawą kobiet. Widzisz teraz sam, tatusiu, że nie możesz mnie osłonić. Ani ty, ani nawet twój znajomy, państwo Grubewie. Nawet oni, chociaż Niemcy.

W moim wieku nie ma się jeszcze przecuć, co najwyższej przypuszczenia. Tak bardzo balam się na początek ku Judith, nigdy nie odważyłam się przyznać, że uważałam ją wtedy za szpiclówkę. Judith wybaczyłaby mi na pewno, ale nie mogłam jej tego powiedzieć, po prostu nie potrafiłam. Zwłaszcza gdy rozumiałam, jak sobie wyrzuca, że jest Niemką.

Nic ze mnie tego nie zdejmię.

Zastoniła twarz i długo milczała. Próbowałam odciągnąć jej rękę, ale odepchnęła mnie z jakąś złością, odepchnęła tak, że omal nie upadłam. Ale natychmiast podbiegła, żeby mnie przeprosić.

Zostaw mnie, powiedziałam, Ju, zo staw.

Bo nie domyślałam się, jak bardzo cierpi. Tego dnia mówiła tylko po angielsku i zaledwie przypuszczałam, co chciała mi wyznać, rozumiałam tylko pojedyncze słowa. Ale nie umiałam już gniewać się na nią.

Wyobraź sobie, że jesteś Szwajcarką, powiedziałam z wysiłkiem.

Nie było to najlepsze, ale nie innego nie przyszło mi do głowy. Judith westchnęła głęboko i zobaczyłam, że opuściła wreszcie rękę. Jej

szynę do szycia nauticy się obsługiwać jakaś inna dziewczyna, Angielka lub Francuzka. Albo Niemka. Albo nawet Szwajcarka. Nie, Szwajcerek nie zabierają, nie udało mi się oszukać wtedy Judith.

Leżałam wysoko, pod sufitem wagonu, tuż obok mej twarzy paliła się maleńka, przyćmiona lampka o fioletowym odcieniu. Siny poblask światła na koldrze. Pociąg kołysał rytmicznie, a potem nagle zatrząsał się cały, koła głucho stukaly o metal, obracali się wolniej. Ojciec podniósł się ze swego łóżka, odsunął fi rankę. Spojrzałam w okno i zobaczyłam światła chwiejące się w wodzie.

Czy to Ren?

Zapytałam tak śmieśnie, jakbym rzeczywiście musiała się upewnić, ale ojciec nie usłyszał chyba, zasnął fi rankę. I dopiero spojrzawszy przypadkowo w górę zdziwił się, że nie śpie. On także nie mógł spać, choć ziewnął, nie zasłoniwszy sobie ust.

Dojeżdżamy do Bazylei, Anno.

Miał ochotę rozmawiać, domyślałam się. Stał niezdecydowany przy oknie i patrzył w moim kierunku. I właśnie wtedy zastukano do drzwi, ojciec szybko opuścił łóżeczko i cofnął się do wnętrza przedziału. Wiedziałam, że to celnicy, którzy zapalił światło i uśmiechnął się uprzejmie do ojca. Wyobraziłam sobie ten uśmiech, bo właściwie nie jeszcze nie widziałam. I tak niemądze myślałam, że kiedy oczy przywykna do światła, zobaczę rosyjskich mężczyzn z halabardami, przebranych w barwne mundury, paslase mundury papieskie gwardii szwajcarów.

Ojciec bez słowa chciał ściągnąć z półki walizki.

Haben Sie etwas zu verzollen? po wstrzymał go celnik.

Wymienili kilka słów, których nie rozumiałam, Szwajcar spojrzął na mnie uważnie, widocznie rozmawiali o mnie. Uderzyło mnie, że akurat po niemiecku.

Est-vous Allemand?

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zapytać.

Allemand? Celnik wzruszył ramionami. Pourquoi Allemand?

Zażmiał się przeciągle, nie patrzył już na mnie.

Pourquoi Allemand? powtórzył nie oczekiwanie, kiedy już opuszczał nasz przedział.

wyciągał się na swoim łóżku, sprężyny trzeszczały przeciągle, zza ściany dolatywał śmiech jakiegoś Antona, tak nazywała go kobieta w szlafroku, która przysłała wieczorem pożyczyc zapalki.

Tatusiu, wyjedźmy stąd.

Szarpałam go, ale nie mogłam obu dzić. Wróciłam do łóżka i modliłam się, żeby umrzeć, potem napiłam się wody z karafki, długo nie mogłam jej wymacać w ciemności. Rano ojciec był już ubrany, spacerował po pokoju, szybko otworzyłam oczy z obawy, że znów wyjdzie do miasta i napotkam jego wzrok, przyglądał mi się z czułością.

Zgadnij, jaki mamy dziś dzień?

Zapomniałam wtedy, że to moje urodziny, ale czy mogłam pamiętać, myśląc wciąż o śmierci? Gdybym miała córkę, zabroniłabym jej myśleć w ten sposób. Na nocnym stoliku obok mego łóżka leżała czekolada, rozpakowałam ją i poczęstkowałam ojca. Przysiadł się na koldrze.

Chyba coś znalazłem, Anka, powiedział z namysłem, jakby szukając mojej rady. Jego wargi złożyły się do uśmiechu, ale umiałam już rozpoznawać te uśmiechy, tylko na początek ku naszej podróży wydawały mi się jednakowe. Bez słowa podałam mu przewodnik po Szwajcarii, który zabraliśmy z Polski. Był bardzo przestarzały, pochodził chyba sprzed pierwszej wojny i ojciec kupił go w antykwariacie na Świętokrzyskiej, nauczyłam się go na pamięć. Na wewnętrznej stronie okładki miał wklejone maleńką, schematyczną mapkę. Ojciec wpatrywał się w nią długo, ale milczał.

No, powiedziałam z niecierpliwością.

A ojciec wzruszył ramionami, kilkakrotnie, żeby mnie rozśmieszyć.

Nie wiem, wybąkał w końcu, to gdzieś nad jeziorem. Podobno bardzo ładne, niedaleko Neuchatel.

Więc to Neuchatel, powiedziałam takim tonem, jakby nasz wyjazd aku rat do Neuchatel postanowiony został dawno i nieodwołalnie.

Nie wiem, powtórzył ojciec, adres dała mi właścicielka naszego hotelu.

To; nie wiem, było właściwie sprze ciwem, nie chciał, żebym decydowała za niego. Uniósłam głowę i pocałowałam go w policzek, zanim się zdążył uchylić, bo zawsze wstydził się czułości. Było mi wszystko jedno,



# „Teatr Łódzki”

## Stanisława Kaszyńskiego

Zyskaliśmy dzieło dla osiągnięć i aspiracji kulturalnych naszego miasta — znaczące. „Teatr Łódzki w latach 1945—1962” Stanisława Kaszyńskiego\*). Książka jest obszerna, ponad pięć set stron dużego formatu z dokumentacją fotograficzną i indeksami.

Już sama bogata dokumentacja, zgromadzona przez autora, stanowi wielki jej walor. Setki informacji rozsypanych w starych fascykulach gazet, po które mało kto sięga, w programach teatralnych i różnych publikacjach okolicznościowych, zostały wyselekcjonowane i przyporządkowane ogólnej koncepcji historii powojennego teatru łódzkiego. Wydaje się, że dla nas wszystkich, piszących na temat teatru, książka Kaszyńskiego będzie odąd nieocenioną pomocą.

Ale ten czysto użytkowy walor „Teatru Łódzkiego” dalece nie wyczerpuje znaczenia książki. Kaszyński jest historykiem teatru, naukowcem wywodzącym się ze znakomitej szkoły, jaką — kierując Katedrą Teorii Literatury Uniwersytetu Łódzkiego — stworzyła prof. dr Stefania Skwarczyńska. Jej osobie dedykując autor swą książkę i nie jest to z pewnością akt czystej kurtuazji. Głębokie i niezmiennie zainteresowanie łódzkiej uczonej sprawami teatru i dramaturgii wyznaczyło kierunki działania i zachęciło do badań nad dziejami teatru w naszym mieście grono młodszych naukowców.

Ukazało się już kilka publikacji książkowych dotyczących różnych okresów tej historii. Nad wszystkimi góruje jednak ambicją zamierzenia praca docenta Kaszyńskiego. Dotyczy ona przecież procesu rozwojowego bynajmniej nie zamkniętego. Rok 1962, na którym w zasadzie kończy autor swoje rozważania (w zakończeniu książki wybiega do czasów jeszcze nam bliższych), jest cezurą umowną. Wprawdzie Kaszyński sugeruje w ten sposób, że z odejściem Kazimierza Dejmki z dyrekcji Teatru Nowego zamknął się pewien rozdział historii teatru łódzkiego jako całości, ale ten punkt widzenia jest mimo wszystko, dość dowolny i z pewnością dyskusyjny.

Jeśli już samo określenie cezurę końcową może budzić wątpliwości (cezurą początkowa — rok 1945 — jest oczywista), to

łatwo sobie wyobrazić, na ile trudności naraził się autor a priori, zanurzając się w materię jeszcze żywą i zmienną jak nie zastęglawa. Ile zasadzek i wilczych dołów czyhało na niego na drodze i jak zindywidualizowanej weryfikacji podlega jego książka obecnie, w zależności od tego, którą weźmie do ręki!



Rys. Georges Braque

Ale taki jest z reguły los badacza historii najnowszej, w której obiektywna wymowa dokumentów wymieszana jest dokładnie z osobistymi odczuciami tych, którzy stanowią żywą kronikę wydarzeń, i którzy w miejsce zobiektywizowanych ocen podkładają własne

kazała się w nakładzie zaledwie 760 egzemplarzy. Chodzi mi o bariere regionalizmu. Otóż nasz krajowy aparat księgarski, zasugerowany tytułem, uznał „Teatr Łódzki” za zjawisko regionalne, które poza Łodzią, nikogo lub prawie nikogo nie interesuje. Nic bar-

animozje i sympatie, rozgoryczenia i fascynacje.

W dodatku Kaszyński występuje sam w podwójnej roli. Jako historyk i jako świadek wydarzeń. Stąd choćby się nie wiem jak starał, nie może uniknąć spoglądania na kilkunastoletnie paneau Łodzi teatralnej przez szczyrbinkę zawężającą własnych doświadczeń i obserwacji. Przypomnieć tu nie bez kozery należy, że autor, obok pracy naukowej, uprawia od lat krytykę teatralną.

Jeśli więc nie udało mu się uniknąć pewnej arbitralności sądów, jeżeli chwilami daje się ponieść temperamentowi krytyka, to czy to ujmuje wartości dzieła? Moim zdaniem odwrotnie. „Teatr Łódzki” Kaszyńskiego jest dzięki temu książką do czytania, nie tylko do studiowania. Powiem więcej, może stanowić pożyteczną lekturę dla każdego zainteresowanego teatrem Polski Ludowej.

I tu dochodzimy do pozornej bariery, którą zapewne spowodowała, że książka Kaszyńskiego u-

dział błędnego! Przecież dzieje teatru łódzkiego w latach 1945—1962 to kawał historii teatru polskiego, obejmujący najświetniejsze jego osiągnięcia.

Weźmy dla przykładu rozdział 5 u Kaszyńskiego. Aleksander Zelwerowicz i jego okres łódzki. Czy to regionalizm? Albo następny rozdział o okresie schillerowskim (1946—1949). W tym czasie na teatr łódzki zwrócone były oczy całego kraju. Znakomite przedstawienia „Krakowiaków i górali”, „Celestyny”, „Burzy”, „Igraszek z diabłem” weszły na trwałe do skarbcza najlepszych tradycji teatralnych w naszym kraju.

Omawiając kolejno premiery schillerowskie, Kaszyński rozśiewa przy tej okazji pewne ogólnejsze poglądy, które służą do lepszego zrozumienia działalności tego najwybitniejszego artysty teatru polskiego. Zacytujmy:

Dla Schillera literatura stanowiła z reguły pretekst, podjęcie punktu wyjścia do syntetyzującej wypowiedzi scenicznej, a nie sprawdzian możliwości czy wydolności teatru w różnorodnych aspektach (społecznych, politycznych itp.). Wynikało to z jego koncepcji o autonomicznym charakterze sztuki teatralnej, ale jednocześnie chodziło Schillerowi zawsze o takie teksty, które by akcentowały jego obecność w nurcie bieżącej historii.

Z pewnością również nie zaliczymy do regionalizmu obszernych rozdziałów poświęconych Teatrowi Nowemu w okresie jego wysokich lotów i Kazimierzowi Dejmki, którego osobowością artystyczną Kaszyński jest niezmiennie zafascynowany. I tu znajdziemy podaną nieco homeopatycznie (ze względu na przyjętą konwencję książki), charakterystykę artysty. Pozwól sobie zacytować jedną z takich opinii:

Dla Dejmki od początku jego pracy inscenizacyjno-reżyserskiej tekst autorski zawsze stanowił materiał adaptacyjny; nie wyznając zasad skrajnych „ostrej reżyserii”, akceptował wszelkie prawo do autonomii twórcy teatralnego, rezerwuując sobie u progu swej działalności przywilej obróbki warstwy słownej, czes- to też ingerował w układ kompozycyjny.

Tak więc dla czytelnika w całym kraju może być książka Kaszyńskiego źródłem wiedzy o współczesnym teatrze, zaś dla Łodzi przedmiotem satysfakcji, gdyż mało który ośrodek życia teatralnego w Polsce może się poszczycić publikacją syntetyzującą o takim zakresie i na takim poziomie.

Pozostaje mi odrobina miejsca na osobistą głos. Na książkę Kaszyńskiego patrzę z konieczności subiektywnie, gdyż należę do świadków opisanej tu historii teatralnej Łodzi. Znalazło się w niej także trochę cytatów z moich bardzo młodzieńczych recenzji. Do niektórych już bym się dziś chętnie nie przyznał. Ale co zrobić? Wyrzucić się grzechów młodości nie podobna. Tym bardziej, że wtopione w rys historyczny jakoś się patynują i brzmią dla mnie jak słowa wypowiedziane przez kogoś obcego.

\*) Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970.



SLUZYŁ MORZU I MIŁOŚCI

G. Bidwell przedstawia nam Johna Paula Jonesa, bohatera amerykańskiej marynarki wojennej z czasów walk o niepodległość Stanów Zjednoczonych, i twierdzi, że był to:

— patriota, gdyż zmuszony do ucieczki z angielskiej floty handlowej, ścigany przez prawo i pozabawiony pracy, schronił się w marynarce wojennej Amerykanów walczących z Anglikami; gdy zaś nie znalazł tu ujścia dla swej żądzy kariery — przeszedł na żołąd carycy Katarzyny;

— wybitny dowódca, który odznaczył się najbar dziej długotrwałą rzezią między żałogą jego okrętu a żałogą nieprzyjacielską, w której to bitwie lepsi okazali się jego wojacy, zresztą nie darzący go zbyt szacunkiem i posłuchem, tak jak i inne żałogi, jakimi dowodził; — demokrata, którego życiowym celem było wybiecie się ponad stan, z jakiego wyszedł; służąc we flocie republikańskiej przybrał tytuł szlachecki, snobował się na konkiety towarzyskie wśród arystokracji wszelkich nacji i chlubił się sympatią głów koronowanych, nawiązując zaś związki młosne pilnie badał drzewo genealogiczne swych partnerek;

— wybitny człowiek, który wytrwale robiąc karierę najczęściej zaprzeczając swe możliwości, dawał się bowiem wywieść w pole dość prostymi intrygami, partnerów zaś zniechęcał nieumiejętnością współżycia z ludźmi.

Drugi — zapowiedziany w tytule książki — rodzaj osłabienie Jonesa trudno ocenić, gdyż autor niemal całkiem pomija go milcze niem. Obyczajność nie doznał więc uszczerbku.

A właściwie ciekawe — dlaczego Amerykanie stawiają pomniki Johnowi Paulowi Jonesowi? WFP

George Bidwell: Służył morzu i miłości — John Paul Jones. Wydawnictwo Morskie — Gdańsk 1970.

### Przeszłość i terażniejszość

Postać zasłużonej wielkopolskiej działaczki społecznej Emilii Szczanieckiej (1804 — 1896) na pewno zasługują na solidną monografię, zaś Dioniza Wawrzykowska — Wierciochowa ma wszelkie dane po temu, aby ją napisać. Jej dotychczasowy dorobek pisarski obejmował najróżniejsze aspekty roli kobiet w kulturalnym i politycznym życiu społeczeństwa polskiego w dobie zaborów, podjęcie więc pracy o Szczanieckiej wyrastało niejako spontanicznie z historiograficznego warsztatu autorki. Jeżeli więc mam do książki D. Wawrzykowskiej — Wierciochowej pt.: „Emilia Szczaniecka. Opowieść biograficzna”, opublikowanej właśnie przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej (1970) pewne pretensje, to nie dotyczą one ani bohaterki, ani kompetencji autorki opracowania — chodził mi bowiem o formę w jakiej zostało ono zrealizowane, nie wy dawniczą bynajmniej — bo

z edytorskiego punktu widzenia książka jest bez zarzutu — ale autorską. Pod tytuł „Opowieść biograficzna” świadczy, że pracy tej przyświecał jakże popularny zarówno w dawniejszym, jak i współczesnym piśmiennictwie o tematyce historycznej model zwany w skrócie „vie romancee”, do którego liczni autorzy uciekają się tym chętniej, gdy bohaterem książki jest kobieta. Pytanie tylko, czy i o ile tego rodzaju ujęcie ułatwiało zgodne z dziejową rzeczą wiistością przedstawienie życia i działalności E. Szczanieckiej w związku z tymi wszystkimi problemami, w które w ten bądź inny sposób była ona uwikłana. Moim zdaniem nie ułatwiło, lecz przeciwnie, utrudniło. Konwencja „vie romancee” siłą rzeczy preferowała eksponowanie osobistych spraw bohaterki, które — mimo romantycznej miłości do Ka rola Marcinkowskiego — nie były ani szczególnie in teresujące, ani szczególnie

ważne, prowadziła do wykupienia drugorzędnych detali w rodzaju opisów strojów, balików, ekwipaży i wojaży, które w życiu bohaterki zajmowały na pewno nie najwybitniejsze miejsce, chociaż panie z jej sfery — a więc i ona — tego wszystkiego nie bagatelizowały. Była Szczaniecka postacią ro

romancee” nie przystaje do opisywanej postaci, tak samo, jak nie przystawalaby do innych działaczek społeczno-politycznych dawniejszych czy bliższych czasów. Co więcej — jestem zdania, że konwencja ta klóci się także z predyspozycjami pisarskimi autorki „książki. Jest ona przede wszystkim

mi już o dialogi, oczywista fikcyjne i nie zawsze prawdopodobne, bo to ostatecznie nie tak trudna sprawa. Gorzej, gdy spotykamy literac ki mielizny przy charakterystykach psychologii postaci, w opisach sytuacji... Na przykład — czemuż wszyscy niemal młodzi ludzie, mężczyźni czy kobiety — są w tej książce papierowo jedna kowi — panowie są szarmanccy, panie urodziwe, jakże często mimo swych lat... w opisach i dialogach raz po raz odzywa się jakaś salonowo-ziemlańska minoderia, nieznośna dlatego, że bliższa klimatowi powieści z życia „wyższych sfer” sprzed wojny, niż atmosferze dworów szlacheckich sprzed stu lat, temu klimatowi, który dziś potrafi oddać chyba tylko Jarosław Iwaszkiewicz. Na koniec o tym, że autorce nie zupełnie odpowiadała owa beletryzująca forma narracji świadczą znamienne okoliczności, że im dalej zagłębiał się w lekturę jej książki, tym... beletrystycznych „wstawek” i „chwytów” jest mniej. Dalsze partie są zdecydowanie lepsze, także pod względem literackim, i nie

jest to chyba sprawą przy padku.

Nie starczy miejsca na róż ważenie innych spraw, które wypadaloby poruszyć. Wspomnę tylko o jednym: wciąż czytamy o demokracji i bohaterki książki, ale nie znajdujemy dokładniejszego sprecyzowania tego ważkiego zagadnienia. Nie udawajmy, że był to demokracizm tkaczy łódzkich. Było to bowiem zgoła co innego.

Nie chciałbym, by czytelnik wnioskował z mych rozważań, że uważam tę książkę za nieudaną. Przeciwnie: jest to solidna, dobrze osadzona w realiach praca historyczna, kadane nie wiedzieć czemu nadano nieodpowiedni — moim zdaniem — kostium. Nie przybliżył on bohaterki do czytelnika, przeciwnie: gdzie beletryzująca materiał nie stało, Szczaniecka ukazuje się jego wyobraźni wyraziściej, bardziej przekonująco, prawdziwiej. Gdyby nie zabieg beletryzacyjny — mielibyśmy pierwszą w naszym piśmiennictwie pełną biografie tak ważnej postaci, jaką była E. Szczaniecka.

JOZEF GRZELAK

## Emilia Szczaniecka

mantyczną w tym sensie, że jej światopogląd był ukształtowany przez to wszystko, co niósł ze sobą polski romantyzm, ale nie była heroiczną romansów; była — i o tym właśnie pisze autorka najwięcej — światłą działaczką patriotyczną i społeczną, która potrafiła przezwyciężyć, choć w ograniczonym sposób te bariery światopoglądowe, jakie istniały w jej klasie i jej społecznym środowisku. I dlatego sądzę, że przyjęta w opracowaniu konwencja „vie

szeraczem — historykiem, skrzętnie gromadzącym najrozmaitszy materiał źródłowy, by zaowocował on w potocznej narracji historycznego opracowania. Pisarstwo D. Wawrzykowskiej — Wierciochowej nie jest beletrystyką, jest po prostu historią, opowiedzianą w sposób zrozumiały, nawiązującą formą do tradycji dawnego dobrego naszego piśmarstwa historycznego. Próby beletryzacji, poczynione w omawianej książce, wypadły zgoła nieprzekonująco. Nie chodzi



# Karykatura w NRD

Niemcy zawsze chętnie wypo-  
wiadali się w karykaturze, w  
rysunku i sztuchu w ogóle.  
Skłonność do ekspresjonizmu, który  
w początkach wieku nawet przy-  
brał formę sprzecywanego kierun-  
ku artystyczno-społeczno - politycz-  
nego sprawiły, że działalność na po-  
lu karykatury i satyry podejmowa-  
na była przez wielu wybitnych ar-  
tystów nader chętnie, dając w efek-  
cie plon obfity i różnorodny. Pene-  
trowane były wszystkie dziedziny  
życia: od zdarzeń politycznych  
przez rejonu obyczajowo-moralne,  
aż do niefrasobliwych rysunków ty-  
czących się spraw białych, prze-  
ciętnych. Specyficzne poczucie hu-  
moru, raczej rubaszne i dosadne,  
upodobania do przeszkrawień i  
krańcowych wręcz deformacji, poda-  
wanie sytuacji sprzecywanego i jed-  
noznacznie bez odnośników i uo-  
gólnień sprawiło, że satyra i kary-  
katura niemiecka była rozpozna-  
walna wśród innych i wykształciła  
coś w rodzaju własnej szkoły.  
Fakt, że unikając abstrakcji i nie  
realności zawsze chętniej obracała  
się wokół konkretnego, angażował ją  
siłą rzeczy w problemy polityczne,  
społeczne i moralne. Z reguły saty-  
rą parali się twórcy związani w  
taki czy inny sposób z siłami po-  
stępu i lewicy, które to siły z kolei  
były w ciągłej opozycji w stosunku  
do oficjalnej polityki warstw rzą-  
dzących.

Tak więc satyra i karykatura Nie-  
mieckiej Republiki Demokratycznej  
posiada tradycje, do których może  
się odwołać i rzeczywiście odwołu-  
je się. Będzie to założony przez T.  
T. Heingego i A. Langena w Mona-  
chium w 1896 roku „Simplicissimus”,  
który w herbie nosił „czer-  
wonego buldoga” a podawał w  
wątpliwie wszystkie „ustalone od  
Boga stosunki niemieckie”. Będzie  
to „Der wahre Jacob” wychodzący  
od 1884 roku — pismo niemieckiej  
socjaldemokracji, grupujące wielu  
wybitnych rysowników. Będą to  
pisma satyryczne wydawane po  
Rewolucji Listopadowej przy czyn-  
nym współudziale Niemieckiej Par-  
tii Komunistycznej, a więc „Die  
Pleite”, „Der Knuppel” i „Roter  
Pfeffer”. Na tradycji tych to wła-  
śnie pism opierał się powojenny  
„Frischer Wind”, poprzednik dzisiejs-  
zego „Eulenspiegel”. Gdy mowa o  
historii postępowej satyry niemieckiej  
nie można pominąć ugrupowań  
artystycznych z początku wieku ta-  
kich jak: „Die Brücke” i „Neue  
Sachlichkeit”, ugrupowań należą-

cych do nurtu najradzykalniejszej  
krytyki społeczno-politycznej. Twó-  
cy działający w ramach tych grup  
— Beckmann, Heckel, Kolwitz,  
Grosz, Dix — poza tym, że zajmo-  
wali się malarstwem, grafiką i rze-  
źbą, uprawiali satyrę zaangażowa-  
ną, traktując ją jako broń rów-  
norzędną. Protestowali przeciwko  
wojnie i społecznej niesprawiedli-  
wości. Stawali w obronie ludzi bied-  
nych i bezbronnych. Niejednokrot-  
nie satyryczne w zamiśle rysunki  
i grafiki, dłoń i pasja demaska-  
torska przekształcały w prawdziwe  
dzieła sztuki, o ogromnej nieprze-  
mijającej mocy oddziaływania (Ka-  
te Kolwitz i G. Grosz). Potrafili oni  
przenieść pierwiastki satyryczne i  
demaskatorskie na płaszczyznę  
„sztuki czystej”, wprowadzić je do  
swego malarstwa. Kiedy zapłonęły  
stosy na placach Kolonii a rytm  
podkutych butów na ulicach mia-  
sta zagłuszył głos rozsadku, wie-  
lu z tych ludzi, którzy rysunkami  
walczyli, musiało zapłacić drogę za  
swoje przekonania i swoją twór-  
czość...

Powojenny rozwój satyry w Nie-  
mieckiej Republice Demokratycznej  
dowodził, że ten rodzaj propa-  
gandy, agitacji i walki nadal cie-  
szy się dużą popularnością i znajdu-  
je pełną aprobatę czytelników ga-  
zety i czasopism. Najcharakterystycz-  
niejszą jej cechą jest jej  
natychmiastowa reakcja na wszel-  
kie zdarzenia polityczne i  
społeczne. Żyje ona życiem  
narodu, który walczy o swój nowy  
kształt. Walka to niełatwa i dla  
tego może mniej miejsca poświęca  
ona sprawom formy — stara się,  
aby była ona czytelna i jednoznaczna,  
by działała jak plakat — natych-  
miast. Sprawy artystyczne scho-  
dzą na plan dalszy, najważniejsza  
staje się treść i jej komunikatyw-  
ność. Na pewno wiele zapożyczyli  
niemieccy karykaturzyści od „Kro-  
kodyla”. Jest to jednak wynik spe-  
cyfiki warunków, w jakich tworzą  
swoją satyrę i obiektów, w które  
tą satyrą mierzą.

Na marginesie wystawy „25 lat  
politycznej karykatury NRD, mają-  
cej miejsce w Klubie Międzynarodo-  
wej Książki i Prasy.

## POLONICA

### „GRANICZY Z LITERACKIM CUDEM”

Genewski Theatre de Po-  
che wystawił sztukę S. I.  
Witkiewicza „Metafizyka  
dwugłowego cielecia”, w  
przekładzie Jadwigi Kukul-  
czanki, w reżyserii dyrek-  
tora tego teatru, Ryszarda  
Vachoux. „Była to rewela-  
cja pod każdym wzglę-  
dem” — tak zaczyna recen-  
zję z owego przedstawie-  
nia recenzent genewskiego

Journal Français, Fortunio  
Sues, i dodaje: „To, że au-  
tor mógł napisać w 1918  
roku, czyli myśląc i for-  
mulując swe opinie w tam-  
tejszej epoce, sztukę tak  
nowoczesną, tak przy tym  
głęboką filozoficznie, gra-  
niczy z literackim cudem”.  
„Dla widza aktywnego i  
myślącego, który nie zado-  
wala się burleską, jest to  
pasjonujące. Na pewno ut-  
wór ten jest celebralny i  
napisany przez człowieka  
wewnętrznie rozdartego,  
lecz genialnego. Pragnie  
się go czytać i do lektu-  
ry raz po raz, po spektak-

lu, powracać. Przedstawi-  
nie to wyjątkowe, niezwy-  
kle, rewelacyjne! Nie wol-  
no go przeczyć”. „Dekora-  
cje z plastyku o niezwy-  
kłych odbłaskach świet-  
lnych, kostiumy personifi-  
kujące różne siły czy wie-  
rzenia, są dziełem Jeana  
Monoda”. Aktorzy grają  
znakomicie. Przewodzą dwo-  
je młodych, Bernard Mes-  
nich i Marianna Eggeric-  
kse.

W. N.

## POLONICA

## IX

# OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ CZYTELNICZY

## ZMS

### KIRGIZ SCHODZI Z KONIA

Kiedy w 1968 r. redakcja ty-  
godnika „Kultura” rozpisła  
plebiscyt na najlepszą książkę  
roku, najwięcej głosów padło  
na zbiór reportaży Ryszarda  
Kapuścińskiego „Kirgiz schodzi  
z konia”. Nieprzypadkowo lite-  
ratura faktu zdobyła to zaszczytne  
wyróżnienie.

Kapuściński przemierzył w  
swojej podróży sławny „wielki  
szlak jedwabniczy” prowadzący  
przez zakaukaskie i azjatyckie  
republiki Związku Radzieckie-  
go, Gruzja, Armenia, Azerbejd-  
żan, Turkmenia, Tadżykistan,  
Kirgizja i Uzbekistan — egzotyczne  
kraje o tysiącletniej  
kulturze, wspaniałe zabytki,  
współczesny przemysł. Autora  
interesuje wszystko: od legend  
do planów perspektywicznych,  
od historii do dnia dzisiejszego.  
Kapuściński w umiejętny, bly-  
skotliwy, pełen refleksji, a za-  
razem erudycyjny sposób, odkry-  
wa nieznaną sprawę i prawdę,  
przybliża historię odległych kra-  
jów, tę minioną i tę, która jest  
udziałem obecnego pokolenia.  
Cechą charakterystyczną autora

jest kolekcjonowanie zdarzeń,  
sprawy współczesnego życia,  
egzotyka, obyczaje. A przede  
wszystkim interesują go ludzie,  
ich marzenia i charaktery, ich  
miejsce w rzeczywistych wa-  
runkach historycznych. Wszę-  
dzie można odnaleźć rzeczy  
dzwienne i wielkie, trzeba tylko  
umieć we właściwy sposób spoj-  
rzeć na otaczający świat.

Kapuściński w swoich repo-  
rtażach, dostrzegł i przedstawił  
atmosferę, klimat i aurę, histo-  
rię, wielkość i piękno siedmiu  
republik leżących pomiędzy Mo-  
rzem Czarnym a jeziorem Arał-  
skim.

E. I.

Ryszard Kapuściński: Kirgiz  
schodzi z konia. Czytelnik. 1968  
rok. Stron 144. Cena 10 zł.

### BOLDYN

Ta książka, o której wielo-  
krotnie pisano, nie jest ani  
„kroniką”, ani też nie ma am-  
bicyj przedstawienia typowości  
w oddziałach partyzanckich wal-  
czących z okupantem. Wszyst-  
kie opisy potyczek, specyfika  
życia obozowego, charaktery  
członków zgrupowania „Śmierć

faszystów!” stanowią zaledwie  
przyczynkę do rozwinięcia pe-  
wnych ogólnych założeń inte-  
lektualnych i politycznych, są  
próbą analizy osobowości przy-  
wódcy w zestawieniu z doko-  
nującymi się wydarzeniami.  
Boldyn — przywódca wyniesio-  
ny do tej godności przez woj-  
nę, jest równocześnie samotny,  
otoczony przez ludzi tworzą-  
cych swoisty kult wokół jego  
postaci, nie mający możliwości  
konfrontacji swoich decyzji z  
kolektywem. Włec popelnia błąd  
dy — wleży Instynktowi. Ale  
wina nie leży całkowicie w cha-  
rakterze Boldyna, to ludzie ota-  
czający wodza usiłują podpo-  
rzędkować rzeczywistość wymo-  
gom swojego dowódcy. Stąd  
rodzi się zaufanie do siebie, do  
nieomyślności.

Ciężar władzy jest wielki. De-  
cyzje nie są poddawane anali-  
zie przez sztab, mają charak-  
ter wyroków. Wszystko: powo-  
dzenie, życie ludzi, istnienie od-  
działu, zależne jest od woli jed-  
nego człowieka, dla którego po-  
woli zacięra się granica pomię-  
dzy oceną subiektywną sytuacji  
a sytuacją rzeczywistą. Z dru-  
giej strony wiara w autorytet  
Boldyna była czynnikiem po-  
magającym w przetrwaniu, w  
odnajdywaniu się w sytuacji,  
kiedy zawodziła logika, w mo-  
mentach rodzących załamania  
i kapitulacje.

W końcowym rozrachunku  
miarą wartości bohatera pozo-  
stają nie jego ludzkie słabości,  
lecz to co uczynił dla swoich  
podwładnych, dla ludzi współ-  
pracujących z partyzantami,  
dla samej sprawy, jaką była  
walka z okupantem. Był mate-  
rialną, cementującą, choć dro-  
go okupioną, siłą realną.

E. I.

Jerzy Putrament: Boldyn. KIW,  
1969 r. Stron 464, Cena 35 zł.

DR ALEKSANDER S. KAZMIERSKI

# Jamnik a prawo

ZAINTERESOWANIE usta-  
wodawcy sprawami ludz-  
ko - jamniczymi poczyna  
się już w momencie zjawienia  
się jamnika w domu. Człowiek  
jamnika kupuje, otrzymuje w  
prezencje albo dziedziczy po  
dziadku — właścicielu hodowli  
jamników. (Rzadko natomiast,  
o ile w ogóle takie fakty ma-  
ją miejsce, zdarza się znaleźć  
na ulicy jamnika, o którego  
nikt się nie upomni). Każda z  
tych sytuacji jest uregulowa-  
na odpowiednimi normami  
prawnymi. Przepisy prawa cy-  
wilnego określają, w jaki spo-  
sób i na jakich warunkach  
można sporządzić legalną i for-  
malną umowę kupna (jamni-  
ka). Prawo spadkowe, szcze-  
gólny dział prawa cywilnego,

normuje zasady dziedziczenia  
(jamnika). Inne przepisy praw-  
no - cywilne ustalają, kiedy  
można zostać właścicielem da-  
rowanego lub znalezionego  
jamnika. Ponadto prawo ad-  
ministracyjne nakazuje wła-  
ściwy sposób postępowania z  
jamnikiem znalezionym. Tym,  
że ktoś stał się właścicielem  
jamnika, zajmuje się także  
prawo finansowe. Wyznacza  
ono obowiązek podatkowy w  
przypadku kupionego lub daro-  
wanego czy dziedziczonego jam-  
nika.

Prawo na tym nie poprze-  
staje. Gdy pan już ma jamni-  
ka — musi stosować się do  
dalszych przepisów. Psa trze-  
ba zarejestrować, poddać szcze-  
pieniom ochronnym, wyprowa-





# O PISANIU PROZA

(III)

Część pierwsza niniejszej wypowiedzi dotyczyła pisania wierszy. Teraz będzie mowa o prozie. Tak samo, jak w poezji, tak i w prozie akt twórczy wynika z potrzeby nadania wypowiedzi formy unikalnej, a kształt tej wypowiedzi i tworzywo stanowią o charakterze dzieła artystycznego. Poezja w literaturze jest najbardziej uzależniona od naturalnych impulsów, od stanów emocji, nastrojów i refleksji, domagających się erupcji.

W odróżnieniu od aktu twórczego w poezji — w prozie odbywa się ten proces na ogół łagodnie. Napięcia, które wywołuje impuls twórczy, poprzedzający akt, może, ale nie musi być wysokie.

Sila impulsu, któremu na ogół dorównuje sam akt twórczy w poezji, w prozie rozkłada się w czasie (powstawania dzieła) i w przestrzeni (komponowania dzieła), tworząc niejako kołce emocjonalny aktu twórczego.

Proces gromadzenia się w świadomości, a także podświadomości obrazów, refleksji o swobodnym rytmie i kolorystyce słów, to dopiero formuła stylu dzieła, bez której także trudno o realizację tezy i kompozycji utworu prozatorskiego. Gromadzenie materiałów wypełniającej zamysł, to stan nie tylko poprzedzający akt i towarzyszący aktowi twórczemu, to stan nieprzerwanym tym aktem pobudzany. Jednorazową erupcję nagromadzonych impulsów, wyeksplorowanie doznań przeżytych lub przeczuć, zastępuje trwały stan napięcia o zmiennej amplitudzie natężenia.

Bywa, że zagęszczenie waloru słownego w jakimś fragmencie czy fragmentach prozy upodabnia ją do poezji — jest nią niekiedy. Wówczas można mniemać, że sila impulsów była bliska lub równa tej, która wywołuje poetycki akt twórczy.

W dalszym ciągu należy zastrzec się, że istnieją wyjątki w tym względzie, a trud i koncentracja psychiczna towarzyszące tworzeniu utworu prozatorskiego nie są jeszcze napięciem emocjonalno-intelektualnym równym stanowi to-

warzącemu poetyckiemu aktowi twórczemu w jego konwencjonalnym rozumieniu.

Utwór prozatorski o skondensowanej strukturze słownej, wyobraźniowej i znaczeniowej jest nim tylko ze względu na gatunek a priori kompozycyjnie założony, jest nim tylko z nazwy.

Często poeci, równocześnie uprawiający prozę, ulegają poetyckim impulsom, rozbijają jednolitą fakturę utworu prozatorskiego nie zamierzonym obrazowaniem i niefunkcjonalną metaforyką. (Oddzielnym zagadnieniem jest czystość gatunku i programowe jego zanieczyszczenie już nie tylko elementami poezji, ale także eseistyki, publicystyki i reportażu). Najwięcej kłopotów z utrzymaniem jednolitości stylu w utworze mają rasowi poeci, rozpoczynający uprawianie prozy.

Fakt, że do stworzenia dzieła prozatorskiego potrzebny jest większy i dłuższy nakład pracy, stała „pielegnacja” i transformacja początkowego impulsu w rozwijający się, wzbogacony i emocjonalnie podsycony zamysł twórczy, że akt twórczy nie jest jednorazowym wyładowaniem nagromadzonych uczuć, obrazów i refleksji, ten fakt raczej odstrasza adeptów literatury od prozy. Pierwotna potrzeba modelowania świadomości własnej — o czym była mowa w części pierwszej — w prozie nie jest najprzystępniejszą formą wypowiedzianą „ego psychicznego”.

„Przyrodzona możliwość” każdego czło-wieka w wypowiedzianiu swoich uczuć i stanów, wynikająca z komunikacji słownej, w przypadku prozy natrafia na przeszkodę. Prócz umiejętności rozkładania na cały utwór napięć istnieją jeszcze inne umiejętności nie tak przyrodzone i nie tak powszechne w mniemaniu adeptów, jak: konstrukcja, kompozycja, narracja, dialog, monolog, opis, motywacja psychiczna, rysunek postaci, umiejętność posługiwania się czasem w różnym jego rozumieniu, logika zdarzeń czy nawet logiczna alogiczność zdarzeń, a nade wszystko teza fabularna i myślowa, artys-

tyczna czy ideowa przenikająca całość. Wiele z powyższych elementów najczęściej nie występuje równocześnie, lub nie ma istotniejszego znaczenia w utworze poetyckim, stąd również mniejsze skrępowanie spontaniczności w poetyckim akcie twórczym. To także sprawia, że rzesza piszących utwory prozą jest o wiele mniejsza niż piszących wierszem. Nie zauważa się tylu grafomańskich prób w prozie, co w poezji, równocześnie zaś — może ilość przechodzi w jakość — więcej prawdziwych talentów rodzi poezja niż proza, a poziom młodej poezji wydaje się przewyższać poziom młodej prozy.

Dość często proza jest dalszym etapem twórczości poetyckiej, w każdym bądź razie bywa następstwem w czasie. Być może wynikiem dojrzenia warsztatowego jest próba wypowiedzenia się w bardziej złożonym formalnie gatunku, co nie znaczy obiektywnie trudniejszym. Być może sam fakt dojrzenia biologicznego sprawia, że rytm i nasilenie emocji intelektualnych rozkłada się w refleksji o bardziej złożonej strukturze, a zatem domaga się gatunku pojemniejszego i łatwiej przyswajającego treści zaczerpnięte z doświadczeń i obserwacji o charakterze raczej niesubiektywnym.

Nie znaczy to, że prozaicy, a szczególnie ci, którzy zaczynają od prozy, nie podlegają podstawowym impulsom aktu twórczego. Nie są oni wolni od pierwszej potrzeby modelowania świadomości własnej, wypowiedzianą „ego psychicznego”. Jednakże przeważa w nich potrzeba odmodelowania rzeczywistości otaczającej.

W tym widziałbym istotną różnicę między „rasowym” prozaikiem i „rasowym” poetą. Po prostu nad potrzebą opowiedzenia siebie dominuje potrzeba opowiedzenia świata u świadomego prozaika, co znowu nie znaczy, że świadomy poeta tej drugiej potrzeby nie odczuwa.

Psychiczna natura opowiadacza wytwarza u prozaika zwolniony i dłuższy rytm reakcji, jego „ja” psychiczne jest rozciągnięte anegdotą świata.

Poeta utożsamia świat ze sobą, prozaik utożsamia się ze światem. Obaj ulegają powszechnemu imperatywom myślenia natury ludzkiej, ukazując świat od wewnątrz i zewnątrz.

Wydaje się, że obowiązki prozaika wobec społecznych przejawów życia są większe niż poety w tym względzie. Prozaik na ogół draży od widomych przejawów bytu i powiązania z nim stosunków

ludzkich w ich różnych układach do przyczyn, warunkujących tę współzależność. Czyli na ogół tok jego dociekań biegnie od skutków do przyczyn.

Poeta bada głównie i najczęściej naturę ludzką, jako przyczynę skutków społecznych. W tym procesie, większej ekspozycji są poddane mało widoczne i popularne sfery odczuć, intencji, wyobrażeń i pragnień — potencjałów uczynianych przez życie i społecznie sprawdzalnych. Wyrażanie tego zakresu rzeczywistości nie poddaje się technice opisu, nie poddaje się również technice dopełniania dowodami i faktami prozy. Wymaga nieco innej techniki słowa, słowa zmetaforyzowanego, więcej znaczącego i więcej przydatnego do wyrażania delikatnego i niezwykłe kinetycznego obszaru ludzkich potencjałów działania, które skrótowo nazywamy psychiką. Logiczny przewód od przyczyn do skutków,

od nieuchwytnego do widocznego, od niewyraźnego do wyraźnego — to zabieg na pozór magiczny, zatem ciężący ku obrazowości, metaforyczności, ku syntezie czy poince.

Można oczywiście wyznaczyć inne tereny rzeczywistości i inne zadania poezji. Można także postawić znak równości między poezją a prozą, widząc między nimi różnicę tylko w graficznym układzie frazy i ewentualnie kanonach metrycznych i rytmicznych. Każdą prozą można przekształcić w wiersz, poddając ją przedtem zabiegowi graficznemu i zewnętrznym cechom wiersza. Nie będzie to jednak instrument zdalny do przebadania nie obnażonych w codziennym życiu złóż ludzkiej natury: tajnych odczuć, pragnień, marzeń, nie sklasyfikowanych przez naukę doznań i reakcji, wyobrażeń i wrażliwości, na nie poddającą się żadnym innym niż poezja eksplozjom, błyskom i migotaniem piękna.

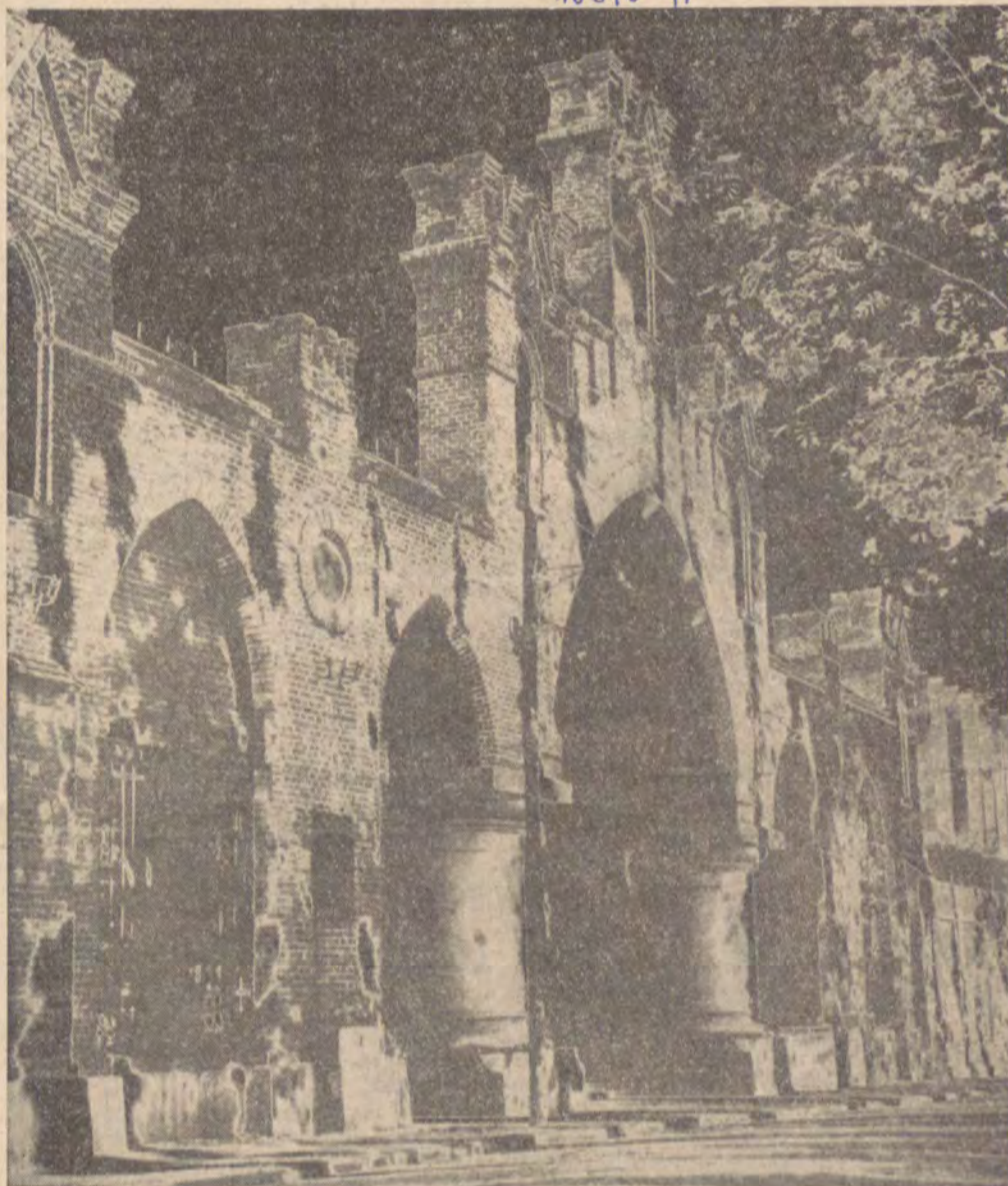
I te największe chyba zasługi poezji dla ludzkości — dar widzenia prawdy poprzez kompilację wyobrażeń, emocji, wrażliwości i pamięci świata w magicznej syntezie słów, znaków myślenia.

Spółeczna rola poezji nie musi zastępować społecznej roli prozy i odwrotnie, bowiem każda z nich ma inny obszar eksploatacji.

Tak by się wydawało i to wywodzi się z założeń niniejszej impresji.

Akt twórczy jest naturalną potrzebą ludzką i przejawia się zgodnie z przyrodzonymi wykształtowanymi cechami osobowości człowieka.

Nawet nieudane, ale szlachetne próby tworzenia są dążeniem do określenia swego „ja” wobec świata. Każda praca przepojona tym pragnieniem jest próbą tworzenia nowych wartości, jest przyczynkiem do określenia świata zgodnie z najszlachetniejszymi pragnieniami ludzkimi.



dzać na spacer w kagańcu i na smyczy, itp. — ustala prawo administracyjne. Za posiadanie psa (nawet jamnika) należy płacić podatek na rzecz budżetu rady narodowej — nakazuje prawo finansowe. Ale te normy, dotyczące codziennych spraw, dziejących się stale i powszechnie, to jeszcze nie wszystko. Prawo przewiduje także rzadkie i niezwykłe zdarzenia. Może się np. okazać, że jamnik, nie mający przecież wyboru, trafił do pana, który — wbrew zasadom współżycia społecznego — poszczuje psa na innego człowieka. W tej sytuacji prawo karne określi, jakie trzeba zastosować sankcje. Jeśli zaś postuluszny swemu panu jamnik gorliwie spełni polecenie i po gryzie poszczutego, zrani go lub porwie spodnie na strzępy — prawo cywilne ustali zasady odszkodowania.

Prawo wtrąca się i wówczas, gdy pan kocha jamnika, troszczy się o jego potrzeby cielesne i duchowe, a nie chce się z nim rozstać — zabiera na wycieczkę zagranicę. Tu znajduje się pole do działania dla prawa administracyjnego. Psa trzeba zaopatrzyć w odpowiednie, zgodne z wymogami formalnymi świadectwa zdrowia. Właściciel jamnika musi przewidując i

uwzględnić wybierać trasę podróży, może bowiem narazić swego ulubieńca na przykrości: niektóre kraje nakazują przybywającym z zagranicy zwierzętom odbycie kwarantanny. I tak pan będzie napawał się urokami zabytków Londynu, jamnik zaś bez swej winy, spędzi ten czas w odosobnieniu. A i krajowe podróże nie są wolne od podobnych niebezpieczeństw. Przepisy administracyjne ustalają bowiem, w jakich środkach komunikacji i w jakich przypadkach jamnik może podróżować ze swym panem, kiedy zaś mu się jechać oddzielnie czy nawet jako... bagaż!

Podobne przykłady zainteresowania prawa jamnikiem można mnożyć niemal bez końca. Pragnie się zrobić wspaniały prezent ciołkowi z San Francisco i wysłać jej na imieniny jamnika — nie obejdzie się bez prawa celnego i dewizowego. Założy ktoś hodowlę wybitnie rasowych jamników — tu dopiero prawo ma używanie! Przepisy prawno - cywilne stanowią o osobowości prawnej przedsiębiorstwa, o jego formie, o prawie własności, o stosunkach umownych z innymi jednostkami. Prawo administracyjne normuje sprawy rejestracji przedsiębiorstwa, jego wewnętrznych regulami-

nów i zagadnień kompetencyjnych oraz wiele innych kwestii organizacyjnych i porządkowych. Prawo finansowe decyduje o podatkach, o rozliczeniach, o zasadach działalności finansowej. A gdy hodowca, działając zgodnie z właściwym kierunkiem rozwoju gospodarczego, podejmie produkcję eksportową... I przepisy dewizowe wejdą w grę, i przepisy o handlu zagranicznym, i szcze gólne normy organizacyjne i finansowe, i Bóg wie co jeszcze!

Tak więc widać, że prawne regulacje dotyczące jamnika są szeroko rozciągnięte na wiele rozmaitych przejawów życia i zawarte w wielu różnych dziedzinach prawa. Nie jest to jednak tylko „radosna twórczość” pracodawcy, nie mająca racjonalnego uzasadnienia. Dwa różnorodne i obfite uformowania związane są z dużym znaczeniem jamnika w życiu społeczeństwa ludzkiego.

Jest to znaczenie gospodarcze, gdyż na przykład pobieranie różnych podatków związanych z istnieniem jamnika stanowi dochód (choć nie najważniejszy) budżetu państwa. Czyni to z jamnika niejako źródło środków finansowych przeznaczonych na prowadzoną

przez państwo działalność gospodarczą i socjalno - kulturalną. Wszelako ważniejszy jest społeczna rola jamnika. Jako przyjaciel człowieka, jamnik darzy uczuciem swego pana i daje mu ciepło prawdziwej przyjaźni i przywiązania. Dzięki temu niejedyn człowiek uniknął tak dziś powszechnych — zwłaszcza w wielkomińskiej cywilizacji, zautomatyzowanej i zdehumanizowanej — stanów alienacji i frustracji. Człowiek więc docenia wartość jamnika, kocha go wzajemnie, a za jego przywiązanie i miłość odplaca mu się, jak potrafi — czyli tworząc normy prawne, zapewniające jamnikowi w stosowny sposób życia i ochronę przed niebezpieczeństwami. Przekonywającym świadectwem tego była niedawna dyskusja, toczona na łamach prasy, w której wyrażono powszechne potępienie dla niektórych myślicieli (jeśli miano), którzy bez uzasadnienia strzelali do psów. Wskazano wówczas na potrzebę takiego uregulowania prawnego, by przepis zezwalający na likwidację groźnych dla otocze-

nia, niebezpiecznych psów, nie stał się tarczą dla nieodpowiedzialnych wybryków aspołecznych jednostek. Prawo bowiem winno nie tylko umożliwić karanie winowajców, lecz przede wszystkim zapewnić bezpieczeństwo psom.

Czy jednak rzeczywistość w tych wszystkich normach prawnych, o których była mowa, idzie o jamnika? Przecież właściwie wszelkie obowiązki prawne, cała odpowiedzialność za jamnika spoczywa na jego posiadaczu. On jest podmiotem prawa, nie jamnik. Jamnik nie tylko nie ma praw wyborczych i nie wspomina o nim Konstytucja, lecz nawet nie jest adresatem żadnej normy prawnej. Stanowi jedy przedmiot prawa. Mamy więc do czynienia nie z prawem dla jamników, lecz o jamnikach. Cóż, pamiętajmy, że nie żyjemy w społeczeństwie jamników, lecz ludzi. Prawa ustanawia człowiek — dla człowieka. Tylko człowiek podlega prawu, jest podmiotem obowiązków i uprawnień nakładanych przez normy prawne. Jedyne w średniowieczu bywało, że — na gruncie określonych poglądów religijnych — prawo dozwalało niekiedy na obciążenie zwierząt

odpowiedzialnością i stawianie ich przed sądem. Wszelako i to zdarzało się sporadycznie. Nawiasem zaś mówiąc, jest to przykład na związek jamnika z jeszcze jedną dziedziną — z historią prawa.

Nie można jednak twierdzić, że jamnik nie odczuwa istnienia prawa. Bezpańskiego choro-ga jamnika można, lub czasem trzeba uśmiercić. Jamnik może mieć ograniczoną swobodę osobistą, może być na smyczy, w kagańcu czy w ogóle w zamknięciu. Jamnik musi znosić przykre zastrzyki podczas obowiązkowego szczepienia. Nie jest więc życie jamnika usłane różami bez kolców. Pamiętając o tym musimy dążyć do tego, aby regulacje prawne uwzględniały także interes samego jamnika. A społeczeństwo tego pragnie, o czym świadczy przytoczone przykłady powszechnych akcji w obronie sprawy psów. Usta wodawca winien więc brać ów wzgląd pod uwagę. Czy jednak tak się dzieje? Kiedy ma być uchwalony nowy kodeks karny, poddaje się jego projekt pod publiczną dyskusję a zgłoszone w niej postulaty wprawda się do nowego aktu prawnego. A czy kiedykolwiek przedstawiono nam do dyskusji projekt prawa o jamnikach?



# Klapoki

## i leluje



### Polskie wycinanki

#### ludowe

W wielu miejscowościach Polski, jeszcze w początkach bieżącego stulecia, istniał zwyczaj malowania ścian zewnętrznych lub wewnętrznych domów mieszkalnych i niektórych budynków gospodarczych farbami wodnymi na białym albo na niebieskim tle, względnie na surowym drzewie. Na ścianie szczytowej lub frontowej z malej doniczki u podwaliny wyrastało drzewko, sięgające wierzchołka belki pod strzechą słomianą; węgiel chałupy, podwaliny lub odrzwia obramowywano biegnącymi ku górze liniami białymi na niebieskim tle, a niebieskimi na białym tle, między którymi malowano do datkowo szereg kółeczek i podkówek (Łowickie). Mieszkańcy malowali je w różnych postaciach, to zaznaczając ogólny zarys zaledwie kilkoma liniami, to pięknie stylizując listki i kwiaty, rozmieszczając je symetrycznie na gałązkach drzewka, wyrastającego z wazonika. Jako motywy drzewo gorzędne występowały: szachownicza, kratki, kropki, kółka, linie proste, faliste, zygzakowate itp.

Przytoczone wyżej przykłady o zwyczajach ozdabiania ścian mówią wiele o istnieniu starej tradycji i o różnych znakach magicznych. Z czasem wiele tych wzorów znalazło zastosowanie w zdobniczym papierowym, kosztem zaniku malowania ściennego (Łowickie).

W naszym kraju wycinanki zaczęły występować w drugiej połowie XIX wieku, gdyż dopiero w tym czasie kolorowy papier pojawił się na wsi. Chociaż wycinanki zaczęto tworzyć tak późno, to w porównaniu z innymi dziedzinami twórczości ludowej, rozpowszechniły się one równocześnie w kilku regionach kraju i w niespełna sto lat przeszły szerokie prze-

brażenia od form prostych, tradycyjnych do coraz bardziej złożonych. Szybki rozwój tych form wynikał z funkcji użytkowej wycinanki i związany był z całą kulturą artystyczną i materialną danego regionu. Wycinanki odznaczają się wielkim bogactwem kształtów i różnorodnością ornamentu. Wykonywane były i są przy pomocy dużych noży kowalskich, jakich używano do strzyżenia owiec. Narzędziem tym, uchwyconym całą dłonią, łatwo wycina się nawet kilka razy złożony papier.

Wycinanki ludowe dzielimy na dwie zasadnicze grupy według techniki wykonania: pierwsza tworzą wielobarwne naklejanki w formie obrazków, albo przedstawiające oddzielne postacie ludzi, zwierząt, ptaków lub najróżniejsze kompozycje kwiatowe — wykonane przez nakleja nie osobno wyciętych części z kolorowego papieru. W ten sposób powstaje obraz plastyczny. Wycinanki plastyczne występują jedynie w Łowickim; drugą grupę stanowią wycinanki jednobarwne, które powstają przez parokrotne złożenie arkusza papieru i wycięcia jednego wzoru (kurpiowskie, sieradzkie, opoczyńskie i inne). Wycinanka tego typu ma najczęściej kształt krążka, kwadratu lub prostokąta.

W okresie międzywojennym nie we wszystkich regionach interesowano się losem tej pięknej dziedziny sztuki ludowej i nie wszędzie dbano o jej rozwój. Drobnomieszczańskie tapety, tandetne, bez żadnej wartości artystycznej, zaczęły wypierać oryginalne wycinanki ludowe. Do upadku jej w dużym stopniu przyczyniła się także ostatnia wojna.

W Muzeum Łowickim przez trzy miesiące, w okresie letnim, była czynna ogólnopolska wystawa wycinanek, które zostały zgromadzone z regionów: podwarszawskie go, kurpiowskie, lubelskie, krakowskie go, opoczyńskie, sieradzkie, rawskomazowieckie, łęczyckie, gostyńskie i łowickie. Zgromadzone zostały z tych terenów, na których twórczość ludowa jest jeszcze żywa. Wycinanka została ocalona dla kultury, jak wiele innych dzieł twórczości ludowej, służąc dziełom społeczeństwu.

Wycinanki podwarszawskie charakteryzują kółka ażurowe o różnych wzorach, drzewka, ptaki i postacie ludzkie. Na Kur-

piach, w pow. ostrołęckim dominują wycinanki zwane „leluje” — drzewka o motywach ornamentu roślinnego lub geometrycznego z kogutkami, „gwiozdy” — kołki o podobnych motywach ornamentu, zaś w pow. pułtuskim, tegoż regionu, występują wstążki z ornamentem roślinnym, ziola, a także same koguty, dużych rozmiarów, które umieszczano nad drzwiami w izbach. Wycinanki lubelskie odznaczają się dużym formatem w kształcie koła lub kwadratu, z kompozycjami geometrycznymi i roślinnymi. W wycinankach opoczyńskich przeważają kompozycje kwadratowe, prostokątne i pasów — fryzów, o wzorach geometrycznych, roślinnych i zwierzęcych. Wycinanki sieradzkie charakteryzują „mazury” z ogonami, kompozycje kwadratowe i koliste oraz „koziki” — pasy ornamentalne z wyobrażeniami postaci ludzkich. Wycinanki rawskomazowieckie mają kompozycje kwadratowe, kół, drzewek i kwiatów z charakterystycznymi kogutami na wierzchołku. W Łęczyckim występują kółka i fryzy z wzorami geometrycznymi. Wycinanki sannańskie, w Gostyńskim, są pokrewne wycinankom łowickim. Wstęgi te w układzie bliźniaczym nazywane są „klapakami” — odpowiedniki „tasiemek” łowickich. W Łowickim mamy wielobarwne wycinanki, w skład których wchodzi następujące typy: „kodry” — prostokątne, poziome białe pasy, różnej długości i szerokości, a na nich bogate w kolory kwiaty, ptaki lub sceny rodzajowe; „gwiozdy” — okrągłe, białe kółka, różnej średnicy, a na nich bukiety kwiatów w układzie symetrycznym lub asymetrycznym; „tasiemki” — dwie pionowe wstążki, bliźniacze, w układzie symetrycznym, u dołu ozdobione frędzlą, a u góry zwieńczone „gwiozdą”; „gwiozdy” ażurowe — kółka różnej średnicy, z wzorami geometrycznymi, kwiatowymi i zwierzęcymi. W regionie krakowskim, w Zalipliu występują wycinanki — malowane, wycinane przy pomocy noży, czek czy też różnych dłutek, z wzorami kwiatowymi i geometrycznymi, które po wycięciu ornamentu podmalowuje się najróżniejszymi barwami.

Ogólnopolska wystawa wycinanek ludowych cieszyła się dużym powodzeniem w Muzeum Łowickim. W ciągu trzech miesięcy zwiedziło ją 42.733 osoby, w tym 3.073 turystów zagranicznych.

## OBIEKTYW

### U NAS I NA SZEROKIM ŚWIECIE

Mniej więcej raz w miesiącu oglądamy na ekranach naszych telewizorów programy z cyklu „Teatr telewizyjny na świecie”. Mamy w ten sposób okazję do konfrontacji tego, co w zakresie teatru TV dzieje się poza granicami naszego kraju, czasem nawet na innym kontynencie.

Niektóre widowiska zagraniczne emitowane w ramach wspomnianego cyklu budzą nasze zdziwienie. Zastanawiamy się, czy to co oglądamy kwalifikuje się do miana teatru TV. Teatr telewizyjny — rozumiemy — to przy wszyst-

kich różnicach specyficznych, przecież jednak teatr. A tymczasem zagranica oferuje nam jako teatr formę widowiska, którą my określilibyśmy raczej jako film telewizyjny.

W rzeczywistości rzecz ma się tak: w telewizji światowej zaciera się granica między teatrem i filmem. Co to znaczy? Znaczy, że wychodzi się z widowiskiem w plener, wtapia je w autentyczne tło, np. w tło normalnego ruchu ulicznego. Znaczy to również, że fabułę konstruuje się często nie na bazie dialogu (co jest typowe dla teatru), lecz

na bazie sytuacji, zmiennego obrazu. Widza staje się więc głównym komunikatem treściowym. Jak w kinie.

Stuchaliśmy niedawno wypowiedzi redaktora naczelnego programów artystycznych TVP Henryka Bieniewskiego na sympozjum teatrologicznym w Warszawie. Mówił on, że w takiej Kanadzie teatr telewizyjny w naszym rozumieniu w ogóle przestał istnieć, z wyjątkiem jednoaktówek kryminalnych. Referent oglądał niedawno w Berlinie zachodnim widowisko znane go reżysera telewizyjnego Zadeka pt. „Rötmord”, nawiązujące do czasów Republiki Weimarskiej. Reżyser wykorzystał w nim materiały dokumentarne z lat dwudziestych, a resztę dokręcił w studio, po czym, przy pomocy aparatury elektronicznej, dokonał absolutnego stopienia wszystkiego w jedną całość.

Materiały archiwalne nie różniły się fakturowo od dokrętek współczesnych.

Inny przykład. Spektakl telewizyjny „Japońskiej „Matka”. Zagubione dziecko waleśa się po porcie. Chłopiec zachowuje się naturalnie, tak jakby był filmowany z ukrycia. Sceneria portu, praca dokerów stanowiąca tło fabuły ma wszelkie cechy autentyzmu. To widowisko Japończycy określili jako teatr TV.

Z kolei omówił jeszcze dyr. Bieniewski spektakl telewizyjny skandynawskiej. Bohater widowiska po dłuższym okresie bezrobocia dostaje z trudem pracę w fabryce i trafia z miejsca na sytuację strajkowej. I znów trudno było mówić o inscenizacji. To, co się działo wokół bohatera, nosiło wszelkie cechy autentycznego, wzbierania fali strajkowej.

W sumie, w omówionych wyżej przykładach przejawia się

generalna tendencja do weryfikacji, do ocierania się o rzeczywistość, do włączania całej jej polaci w ramy spektaklu. Słowem: jeżeli teatr, to teatr faktu.

Czy takie tendencje przejawiają się u nas? Czy ewentualnie mamy przed sobą taką perspektywę? Z pewnością i nasi twórcy telewizyjni szukają i będą szukać środków wyrazu najwłaściwszych dla przekazywania treści. Procesy zmian przebiegają u nas wolniej przede wszystkim z braku wysoko-energetycznej aparatury technicznej. Nie bez znaczenia jest jednak i nawyk, jaki wnieśli do telewizji reżyserzy, którzy ostrogi zdobyli w teatrze.

Teatr telewizyjny oparty na słowie i na aktorze ma więc chyba przed sobą przyszłość, tym bardziej, że namnożyły się różne jego formy (Scena Prozy, Scena Monodram,

Estrada Poetycka, Studio 63 i in.). Nie ma powodu, by rezygnować z osiągnięć w tym zakresie i poprzestawać na światowej modzie.

Jednocześnie jednak nie należy stać na przeszłości, by zwłaszcza w widowiskach współczesnych wychodzić w plener, stosować technikę reportażową, anektować fragmenty autentycznej rzeczywistości. Przy dwóch programach Telewizja Polska nadawać będzie ok. 160 spektakli rocznie. Jest więc miejsce dla całej gamy form teatralnych w tradycyjnym i nowoczesnym znaczeniu.

Przyszłość należy — jak się wydaje — do harmonijnego rozwoju teatru TV, w oparciu o różnorodność, nie unifikację.

Władysław Osiński

## O FILMACH DOBRZE I ZŁE

Scenariusz filmu „POGOŃ ZA ADAMEM” według własnej powieści przygotował Jerzy S. Stawiński, autor, którego scenariusze leżały u podstaw wielu wybitnych filmów tzw. szkoły polskiej, a także pisarz, który sam niezbyt zresztą udanie próbował swych sił jako reżyser. Tym razem zrezygnował z pracy reżyserskiej, a film „Pogoń za Adamem” zrealizował Jerzy Zarzycki.

Trudno byłoby zaprzeczyć, że scena riasz był ciekawym materiałem literackim dla dobrego filmu. Trudno jednak również zaprzeczyć, że powstał zeń film niedobry. „Pogoń za Adamem” jest filmem nieudanym we wszystkich swych trzech poziomach, w których przeplatają się trzy rzeczywistości — współczesność, wspomnienie i wyobrażenie o nim.

Bohater filmu, słynny polski reżyser filmowy, poszukuje prawdy o sobie samym i swych najbliższych sprzed lat wielu. Na ekranie zjawiają się zatem retrospekcje, które być mają samym, subiektywnym wprowadzeniem, ale autentyzmem minionych wydarzeń.

Uzupełniają je sekwencje filmu, który reżyser ów zrealizował, by utrwalić pamięć o udziale swoim i swych bliskich w Powstaniu Warszawskim. Reżysera Zawadę oglądamy wreszcie w jego podróży do Ameryki Południowej, Rzymu i Paryża, w czasie której poszukuje ludzi zagubionych w wojennej zawierusze, a są nimi właśnie bohaterowie jego wspomnień i jego filmu, a więc ukochana Kama i przyjaciel Adam.

Cóż jednakże wynikało z tej kunsztownej konstrukcji fabularnej, jaką wiedzie o tych ludziach film przynosi? Wielkich „prawd” o nich jest w „Pogoni za Adamem” bardzo wiele — lu dzie się zmieniają, prawdy o tym, jacy byli i jacy są dziś dociec nie sposób, jest relatywna, mity przeszłości w konfrontacji z prozaiczną teraźniejszością przyskają, spotkania po latach są rozczarowaniem itd, itd. Moglibyśmy rzec, że „prawdy” te są tak oczywiste, że robenie z nich tematu powieści czy filmu mijają się z celem, ale to wiadomo — nieprawda, te same tematy były, są i będą sednem dzieł różnych,

wybitnych czy interesujących — trzeba je tylko obdarzyć ciałem i duchem, a przyoblec w szaty sztuki.

Do szwajckiej pasji może doprowadzić w przypadku „Pogoni za Adamem” świadomość tego, iż masę pieniędzy wydano na to, by część tego filmu zrealizować w autentycznych piętach Rzymu, Paryża i egzotycznej Kuby, że film kosztował w ogóle, a dano nam za to papierowych bohaterów, żalną żądność konfliktów, banał ich rozwiązań i prowincjonalizm realizacji.

Film „Pogoń za Adamem” posiada jednakże swój, sądzę, że nie przewidziany przez autorów, sens. Będąc bodaj ostatnią premierą 1970 roku, „Pogoń za Adamem” stała się nie zamierzona satyrą na film polski w ogóle. Pech chciał, że bohaterem tego filmu jest właśnie wprowadzanie anonimowy, lecz wybitny polski reżyser. Gdy śledzimy w filmie jego głębokie życie uczuciowe i intelektualne, gdy oglądamy fragmenty filmu, który jest życiowym osiągnięciem naszego bohatera, filmu, z którym jedździ po świecie przynosząc chwałę polskiej kinematografii, a który ma walory słabszego komiks, skóra nam cierpnie. Gdy zaś nadmiar w finale filmu Magda Za-

wadzka (nie nie ujmujemy talentowi aktorskiemu pani Zawadzkiej) najpierw w kawiarni, a potem śpiesząc się wiece na randkę, snuje wraz z naszym reżyserem pomysły nowego wybitnego filmu, zdaje nam się, że te raz już wreszcie znamy przyczynę klęsk polskiego kina. Tym wrażeniom towarzyszy jeszcze uczucie niesmaku, wywołane, nie po raz pierwszy zresztą, nadużywaniem w najróżniejszych bzdurach fabularnych tragicznych tematów przeszłości narodowej.

„Pogoń za Adamem” zalecił by mógł jako lekturę obowiązkową wszystkim ludziom polskiej kinematografii, jest to lektura wielce pouczająca. Jeśli tak rzecz widzieć, realizacja i premiera tego filmu była bardzo sensowna, oby także cenna w skutkach, czy li w wyciągnięciu wniosków.

\*\*\*

Na karnawałowy sezon, który oby i nasze kina objął, polecić można komedię kryminalną pt. „WALET KAROWY”, który, tak jak i karnawał, więcej atrakcji zapowiada aniżeli naprawdę dostarcza. Ten gatunek filmowy ma jednak swych wielbicieli, którzy gotowi są nawet darować to, że „As pikowy” zmienia się w „Asa ka-

ro”, a tenże w „Waleta karowego”, jeśli tylko będą tak samo inteligentni i sprawni. Schemat fabularny pozostaje ten sam, podobnie jak bohaterowie. Można co najwyżej oczekiwać kilku nowych pomysłów organizacji kra dzieży i kilku nowych rozwiązań poscigów. Tym razem bohaterowie są złodziejami, których kunszt polega na umiejętności chodzenia po dachach. Oglądamy zatem dachy światowych me tropoli, podziwiając przy okazji ich pejzażowe uroki. Uczucie przyznać trzeba, że w szampański humor „Waleta karowy” swych widzów nie wprowadzi, jest po prostu zbyt nudny, czego zrekomensować nie jest w stanie dobra pointa, uroki światowych stolic, czy obrazy zyciowego luksusu bogatego mondu.

Tyle samo przystojny co mydlkowaty G. Hamilton przebywa na ekranie niestety znacznie dłużej niż J. Cotten, a gościnne występy takich gwiazd jak: C. Baker, Z. Z. Gabor, L. Palmer, które w filmie grają same siebie, są zbyt krótkie, choć i tak wnoszą wiele uroku. Cóż, standardowa komedia kryminalna, w której tylko sprawnie potągowano talę kart, eksponując tym razem „waleta karowego”.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## NOWA MIREILLE

„Mireille Mathieu nie ma” — taki podpis pod wielkim zdjęciem usmiechniętej piosenkarki widnieje na okładce jednego z ostatnich numerów tygodnika „Paris-Match”. „Narodziła się nowa Mireille” głosi chyba nieco przesadnie, tytuł artykułu o niej. Wylansowana przez Johnny Stark, który z nieznanej nikomu amatorki-

śpiewaczki zrobił ją sławną gwiazdą estrady, organizował jej występy, dbał o reklamę i trenował ją przez wiele godzin dziennie — dziś Mathieu już się usamodzielniała. Mówiono, że Stark, nazywany przez nią „Pépé Jo”, zarabiał świetnie na tym lansowaniu młodej śpiewaczki. Ponieważ była jeszcze wtedy niepełnoletnia, Johny zawarł kontrakt z rodzicami Mireille i fama

głosiła, że odtąd 80 proc. wpływów z występów piosenkarki zabierał dla siebie. Jak twierdzi Mireille były to plotki. Stark brał tylko połowę, ale za to spadały na niego całkowicie trudy wykształcenia piosenkarki, organizacji występów i ryzyko, gdyby usiłowania te zawiodły. W zamian za takie wylansowanie Stark wymagał od swej podopiecznej absolutnego posłuszeństwa. Kierował nie tylko nauką jej śpiewu, ale narzucał Mireille drobniagowo opracowany program zajęć i zachowania się w każdej sytuacji. Mireille była idealnie posłuszna. W rezultacie jednak, świetnie wykształcona Mireille robiła, na niektórych wrażenie śpiącego wającego robota, jeśli nie pracowicie wytresowanego psa.

Dzisiaj Mireille nie jest już związana żadnym kontraktem ze Starkiem. Owszem współpracuje z nim, a Stark interesuje się nadal jej karierą, ale na mocy jedynie luźnych umów t.zw. „gentlemen agreement”, które mogą być rozwiązywane z dnia na dzień i z których zaledwie 15 proc. zysków przypada Starkowi.

Tak usamodzielniona Mireille sama już zaprojektowała dwunastodniowe tournée do kilku miast Niemiec zach., Berlina zach. i Berlina (NRD).

Jak potoczy się dalej kariera Mireille Mathieu bez dotychczasowego opiekuna?

Niektórzy znawcy twierdzą, że dopiero teraz Mireille będzie miała możliwość ujawnienia swych możliwości i że dopiero za kilka lat, młodzianka teraz piosenkarka, osiągnie szczyty rozwoju swego nieprzeciętnego talentu.



MIREILLE MATHIEU

## GDY PÓŁ WIEKU TEMU PIĘKNA PANI SZŁA NA BAL...

Jak wiadomo Paryż od dawna jest stolicą mody, zwłaszcza damskiej. Moda jest dla Paryżan niemal równie ważna jak malarstwo, literatura czy muzyka. Nawet poważne pisma literackie zajmują się modą. Nic też dziwnego, że Muzeum Kostiumów miasta Paryża urządza ekspozycje poświęcone ubiorom. Obecnie w Muzeum tym została otwarta wystawa obrazująca kobiecą modę sprzed pół wieku. Tym bardziej interesująca to wystawa, ponieważ wiele sukien i dodatków przypomina ją do żywo modę dzisiejszą. Tamte wzory sprzed lat pięćdziesięciu stały się, nie bardzo wiadomo dlaczego, inspiracją dla twórców mody dzisiejszej. Oczywiście wiele się zmieniło jeśli chodzi o materiały czy te lub inne szczegóły, ale wiele też jest i podobieństw. Tak np. dawniej jak i dziś stosuje się futerka na mankietach, podobna jest długość sukni lansowa na wówczas i dziś, szereg detali jest niemal identycznych.

Prasa paryska omawiając tę wystawę wyraża żal, że nie pokazano dla kontrastu mody sprzed 1914 roku. Wtedy dopiero uwidoczniło się, że w rzeczywistości jakimiś przelotem w stosunku do mody dawniejszej była ta z lat 1919-1929, jak bardzo różna są stroje sprzed lat pięćdziesięciu od ubiorów sprzed roku 1914. Do roku 1914 moda nie zmieniała się w zasadzie jeszcze od wieku XVII. I dopiero bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej następuje wyraźne zerwanie z dotychczasowymi gustami. Epoka turniur i krepujących kobiece ciała gorssetów przemija. Suknia zmienia się wraz z emancypacją kobiet. Kobiety pracują w fabrykach, w biurach, muszą się uwolnić od krepujących więzów nie wygodnego ubrania. Suknia zostaje przystosowana do tego by kobieta mogła w niej chodzić, biegać, pracować. Strój staje się więc

odbiłem socjalnej sytuacji kobiet.

Wadą wystawy — jak to zauważa recenzent „L'Humanité” — jest to, że pokazala ona niewielki wa-

chlarz zestawu ubiorów. Niemal wyłącznie ograniczono się do sukien bardzo drogie, a więc takich jakie mogły sobie kupić jedynie kobiety zamożne.



## Spektakle tygodnia

spektakli widzów proc.			
<b>TEATR WIELKI</b>			
„Aida”	1	1280	100
„Królewna Śnieżka”	1	1260	100
„Lohengrin”	1	1160	100
„Zemsta nietoperza”	1	1110	89
<b>TEATR NOWY</b>			
„Za siedmioma górami”	3	2100	100
<b>NOWY</b>			
Mała Sala			
„Rodeo”	3	600	100
<b>JARACZA</b>			
„Wszystko w ogrodzie”	2	533	52
<b>T.15</b>			
„Egzern”	2	790	94
<b>OPERETKA</b>			
„Dama od Maxima”	4	3067	88



KSIAŻKI  
NA KTÓRE CZEKAMY

CAŁA BIBLIOTEKA! — 134 TYS. NA KSIAŻKI? —  
WZNOWIENIA KLASYKÓW — 10 POWIEŚCI KRASZEWSKIEGO — XVIII-WIECZNE STAROCIE —  
NOWE TOMY WANKOWICZA — WSPOMNIENIA  
O ŁODZI — ANTOLOGIE I BAJKI

Gdybym sobie zaplanował (i miał możliwość realizacji tego planu) kupowanie wszystkich książek z zakresu literatury polskiej, jakie wydane będą w roku 1971... za rok o tej porze byłbym w posiadaniu biblioteki liczącej 6.737 pozycji. Tak jest! W ciągu tego roku we wszystkich wydawnictwach kraju ukazało się bowiem 6.737 tytułów.

Oczywiście wiele będzie wznowień, wiele pozycji klasycznych — ta „biblioteka” książek zaplanowana na rok bieżący mieni się nazwiskami i tytułami, które chciałoby się widzieć na półkach naszych domów regałowych. Ale to tylko marzenie. Gdybym bowiem chciał kupić wszystkie książki, jakie się wyda w tym roku, zapłaciłbym za nie 134.740 złotych — 11 części średnio po 20 zł za książkę.

Nawet nie każda biblioteka publiczna może sobie pozwolić na taki wydatek, lecz przecież wśród

tych tysięcy pozycji, zwykły, prywatny czytelnik może wiele znaleźć dla siebie. Tak więc w serii kieszonkowej PIW wznowił się „Krzyżaków” Sienkiewicza, „Marysięnkę Sobieską” Boya, „Urząd” Brezy, „Disneyland” Dygata... W seriach szkolnych ukazały się „Treny” i „Odprawa posłów greckich” Kochanowskiego, „Nad Niemnem” Orzeszkowej, „Wybór nowel” Prusa, „Ludzie bezdomni” i „Syzyfowe prace” Żeromskiego, „Noc listopadowa” i „Warszawianka” Wyspiańskiego... „Pan Tadeusz” ukazał się ponownie w nakładzie 100 tys. egzemplarzy, nareszcie doczekamy się pełnego dzieła wielotomowego wydania „Pism” Norwida.

Wznowił się dziesięć powieści Kraszewskiego, a „Stara baśń” wydana będzie w pięknej szacie albumowej i jak zapowiada wydawca (LSW) ma to być jedna z najpiękniejszych edycji tej książki. Po raz pierwszy opublikuje się

szereg ciekawych pozycji epistolarnych — m.in. korespondencje Chopina, Krasieńskiego, listy Oktawii Ze romskiej do Stefana Żeromskiego oraz ponad 200 listów Boya-Zeleńskiego, dotyczących spraw literackich i ówczesnego życia kulturalnego. Ukazał się również wybór „Listów miłosnych dawnych Polaków” rozpoczynający się romansową epistolą z 1429 roku, a zakończony listami miłosnymi Tadeusza Kościuszki do pań Sosnowskiej i Zurawskiej.

W planie wydawniczym Ministerstwa Kultury i Sztuki na rok bieżący znajdują się też interesujące starocie, znalezione historyczno-literackie tak bardzo ostatnio poszukiwane i czytane. Warto polecić jest choćby bogato ilustrowany wybór tekstów z osiemnastowiecznych polskich kalendarzy, które przecież stanowią najbar dziej masową literaturę Oświecenia. Wśród owych staroci jest też słynny w całej Europie osiemnastowieczny przekład opowieści o przygodach Augusta II. Oczywiście romans króla z hrabiną Cosel jest tam również. Rzecz będzie się nazywała pięknie — „Ogień palający miłość albo ciekawa introspekcja w życie Augusta II”.

Miłośników piśmarstwa Melchiora Wańkowicza ucieszy zapewne fakt, że w tym roku ukazał się drugi wydanie poszukiwanego

tomu „Od Stołpców po Kał” oraz tom „Pism publicystycznych”, w którym znajdują się reportaże przed- i powojenne. Ponadto Wańkowicz wyda książkę będącą przeglądem dzieł i problematyki związanej z pracą korespondenta wojennego. Myślę, że zwłaszcza ta ostatnia pozycja stanie się murowanym bestsellerem.

Skoro już od klasyki przeszliśmy na teren twórczości pisarzy współczesnych, dodajmy, że ukazał się m.in. nowe książki K. Brandysa, R. Bratnego, S. Dygata, T. Hołuj, T. Konwickiego, W. Machajki, S. Strumpha-Wojtkiewicza. Nie wspominam o pisarzach łódzkich, bo tym sprawom warto chyba poświęcić osobny felieton.

Od lat obserwujemy renesans pamiętników. Jest to renesans autentyczny, bo mnogość publikacji tego typu towarzyszy przecież ogromne zainteresowanie czytelników. Wspomnienia literackie koncentrowały się będą tym razem nie wokół Warszawy, ale wokół Łodzi i Krakowa. Ukazał się zatem tom E. Kozłowskiego „Łódź i piór” oraz krajkowskie wspominki A. Waślewskiego i W. Zechentera. Wspomnienia J. Sztudyngera dotyczyć będą — jak wiadomo — i Krakowa i Łodzi.

W związku z Rokiem Kopernikowskim przygotowuje się „Antologię poezji o Koperniku”. Antologii zre-

szą będzie więcej — ukazał się „Drugi album poezji miłosnej”, wybór poezji jarmarcznej i brukowej (w Wyd. Łódzkim), zbiór najpiękniejszych wierszy polskich od Kochanowskiego do Wyspiańskiego, a nawet antologia złożona z wierszy i opowiadań polskich pisarzy podejmujących... motyw diabła.

Jeśli już jesteśmy przy bajkowym diable dodajmy, że przygotowuje się wydanie XIX-wiecznych „Klechd” oraz wznowione będą (po raz czwarty) „Baśni polskie”, a Wydawnictwo Poznańskie da czytelnikom zbiór baśni, legend i podań wielkopolskich pt. „Orle Gniazdo”. Z bajek dla dorosłych polecam „O miłości historie przedziwne” W. Markowskiej, miłośnikom staroci i folkloru „Warszawskie bałady podwózkowe” w opracowaniu prof. B. Wiercior kiewicza... Słowem — wśród 6.737 pozycji można znaleźć prawdziwe perełki i rewelacje wydawnicze.

Jest więc w czym wybrać. Oczywiście nie wydamy na nasze „prywatne” książki 134 tys. złotych, ale jeśli tylko przeznaczymy jedną setną tej sumy, co daje niewiele ponad 180 zł miesięcznie — to nasze domowe biblioteki wzbogacą się o pozycje cenne, piękne i ciekawe. A zatem — przyjemnej lektury książek z cyferkami 1971 na tytułowej kartce.

JERZY WIDOK

# Bez strachu CZŁOWIEK ZDRADZONY

Spotkałem człowieka zdradzonego — tak o sobie myślał i mówił, tak się określał... Zdradziła go kochanka i zdradziła zoną jego pies nie był wiernym psem, był psem zdradliwym. Człowiek ten tak mówił nie tylko do mnie — tak mówił do wszystkich, którzy chcieli go słuchać, a tych, którzy nie chcieli, zatrzymywał na moment siłą lub podstępem i zmuszał do wysłuchania o takiej czy innej doznanej zdradzie. Temat po czątkowo wydawał się ciekawy, rzadki, potem słuchacz zaczął go mniej ciekawym — monotonnym. Mówiono że ów zdradzony staje się monotony, nudny że się powtarza. Te oboje zmuszyły go do zwolnienia pomysłowości, odnajdywał nowe zdrady, zdrady oryginalne, zdrady nadrealistyczne wreszcie. Pięknie mówił o zdradzie jesienią, po której zamiast zimy nadeszła druga jesień, miał pomysły i spostrzeżenia, dotyczące zdrady ptaków powietrznych i zwierząt naziemnych oraz stworów rzecznych i morskich. Zdybł tego czy owego słuchacza, późnym wieczorem, w niedoświetlonym mieszkaniu i nie żałując secesyjna rekwizytoria grozy przyswoił zdradliwego widma, upiory, diabły zdradliwe z natury i anioły z natury wierne. Mi jaly miesiące i lata, człowiek ten przestał pracować, bowiem wyrzucił go z pracy zdradliwi kolezcy i zdradliwy szef... Był zatem na utrzymaniu rodziny, która zdradziła go, oczywiście, ale żyłby też potrzebnie — przecież musiał być żywym, aby być zdradzonym, na tym polegała perfidia tych ludzi: musiał być żywym i być zdradzonym. Otóż pewnego dnia człowiek ten walęśając się i mimochodem zacementowanym przechodząc mówiąc o zdradzie, napotkał przypadkiem, czy też zrzadzeniem losu, rzeczywisty tego zdradca. Zdradzony był szczęśliwy, od wielu lat nie spotkał słuchacza tej miary. Poważny i skupiony słuchał i potakiwał. Od czasu do czasu skromnie, z miną dobrego ucznia dodawał jakiś drobny przyczynkę, niepełne uzupełnienie zdrady. Dwa ci ludzie wrzeli się pod rękę i poszli na spacer — jeden mówił, drugi słuchał i potakiwał. Poszli razem na obiad — zdradca słuchał, potakiwał, jadł i pił. Spotkali się każdego dnia, widziano i słyszano ich razem. Ludzie dziwili się, że ten, który tak za jadle tropił i ścigał zdradę, znalazł brata w zdradcy. Ludzie dziwili się, a przecież nie było w tym nic dziwnego. On tak bardzo wierzył w zdradę, że w końcu znalazł zdradcę — dziwne może było to, że go nie poznał. Zdradca chodził sobie bezkarnie, bowiem nikt nie miał wyraźnych dowodów jego zdrady, będąc prawdziwym zdradca a nie człowiekiem niewinnie pomawianym o zdradę, umiał zdradzać — wszyscy wiedzieli, ale nikt go nie złapał za rękę. Tyle o zdradcy, ten natomiast, który wierzył w powszechną zdradę, dziwił ludzi. Mówiono: „On jest stale przy zdradcy, może razem coś knują, może my ślą, kogo i jak razem zdradzić”. Miał rok i oto po woli poczęto głośnieli zdrady nazywać zdradca. „Prze staje ze zdradca, a zatem zdradza”. Głoszący zdradę zachorował, leczono go, lecz nikt mu prawie już nie wierzył, jego fascynację zdradą wzięto za akt zdradzania. Pewnego dnia obudził się i bardzo już słaby powiedział do żyjących, ale nieufnych ludzi: „Nigdy nie znalazłem zdrady, nie zdradził mnie ani wiatr, ani słońce, ani woda, ani ludzie”. A potem bardzo cicho: „Nie zdradził mnie nawet zdradca”. Rzeczywiście zdradca stał za drzwiami i przynęcał biony nie śmiał wejść. Ten, który niegdyś głosił zdradę, umarł. Nawet zdradca był na jego pogrzebie i płakał.

BERNARD SZTAJNERT



## Próba

— Jak tu duszno — rzucił mężczyzna. — Otwórz okna!

Chłopiec z uśmiechem wykonał polecenie ojca. Potem przysunął się i objął go za szyję.

— Wróćmy do domu, tatusiu, cieszę się.

Ojciec przyglądał mu się bacznie. — Jesteś silny, jak na twoje trzynaście lat, Paul — zauważył.

— Prawie jak ty — ucieszył się chłopiec.

— Ale twój brat Kirk nie był podobny do mnie, prawda? Słaby, szczupłutki. Teraz już nie żyje, zostaliśmy sami, ja i ty. Powiedz Paul, co się wtedy zdarzyło?

— Ależ tato, opowiadałem ci już sto razy... I wszystkim innym także!

— Chcę wiedzieć jak było na prawdę owego dnia. Mówiłeś, że Kirk chciał pływać.

— Tak, powiedział, że tego lata chce się stać prawdziwym pływakiem.

— A ty go zachęcałeś?

— O nie, tłumaczyłem mu, że jest za mały i za słaby.

— Wiedziałeś przecież, że to go jeszcze bardziej zachęci do pływania. Zazdrościł ci. I jako starszy brat poszedłeś z nim na jezioro, prawda?

— Tak, oddaliśmy się razem od brzegu. Po jakimś czasie rzekłem: — Teraz musimy już wracać. Zawróciłem. Płynąc do brzegu myślałem, że posuwa się za mną. W połowie drogi odwróciłem się i zobaczyłem, że jest daleko... Zaczął wzywać pomocy...

— A co się potem stało?

— Tato, opowiadałem ci już tyle razy... — Chłopiec wstał i wytarł ręką pot z czoła, lecz ręka była także wilgotna.

— Siadaj, Paul, opowiedz mi jeszcze raz!

Chłopiec posłusznie mówił dalej. — Wiedziałem, że nie uda mi się dopłynąć do niego i wrócić razem do brzegu. Przypłynąłem więc do plaży i wziąłem motorówkę kierując się do niej, gdzie widziałem Kirka. Lecz nie zobaczyłem go już więcej.

— Czy to wszystko?

— Tak, ojcze.

— Nie, nie wszystko! Gdybyś naprawdę kochał brata zawróciłbyś i próbował wszystkiego, żeby go ocalić... nawet gdybyś miał utonąć razem z nim.

— Jestem zadowolony, że tego nie zrobiłem. Gdybym utonął, zostabyś zupełnie sam. Ta tatusiu, ja cię kocham.

Mężczyzna wstał. Otworzył drzwi i chwile wdychał świeższe powietrze wieczorne. Nie od

wracając się rzekł: — Idź już spać, Paul!

— Dobrze, tato. Do zobaczenia jutro!...

Następnego dnia chłopiec obudził się późno. Zszedł do jadalni. Ojciec stał przed kominkiem i przyglądał się fotografii na ścianie.

— Jakże to dziwne, dawniej tego nie zauważyłem. Zobacz, Paul! Po lewej stronie my dwa trzymamy się za ręce, po prawej mama i Kirk także blisko siebie. Po środku pusto jak by ktoś przeciął fotografię na dwie części.

— Tak właśnie było: ja należałem do ciebie, a Kirk do mamy.

— Kirka był także moim synem — krzyknął mężczyzna.

— Chciałem powiedzieć, że tobie i mnie podobały się te same rzeczy. Kirkowi książki i obrazy — jak mamie. I teraz oboje są razem, a ja i ty także jesteśmy razem.

Mężczyzna usiadł w fotelu i zakrył twarz rękami. Chłopiec ukląkł przy ojcu.

— Paul, czy kochałeś Kirka?

— Ja? Ależ tak, naturalnie.

— Ty go nienawidziłeś, przyznaj się.

Chłopiec posmutniał. — Kochałem więcej ciebie — rzekł po chwili. Szczerze wyznanie pozostało bez odpowiedzi. Paul poszedł do kuchni, aby przygotować śniadanie.

Po śniadaniu udali się nad jezioro. Motorówka przywiązana do słupa kołysała się na wodzie.

— Ktoś ukradł motor — stwierdził mężczyzna.

— Nie, tatusiu, to ja zaniosłem go do domu.

— Kiedy?

— Trzy dni temu, na krótko przed naszym odjazdem. Motor jest suchy i w porządku, bądź spokojny.

Mężczyzna spojrzął na jezioro, przebiegł go dreszcz.

— Chcesz pojechać motorówką? — zapytał chłopiec z niepokojem.

— Nie, Paul, jeszcze nie teraz. Wróć do domu. Ojciec zbliżył się do kominka. — Gdzie jest fotografia Kirka? — zapytał.

— Chciałem oczyścić ramki z kurzu, upadła na podłogę, szkło się potłukło. Schowałem fotografię do pudełka.

Mężczyzna chodził po pokoju.

— Zauważyłem, że znikła wszystko, co należało do Kirka. Jego książki, kolekcja znaczków, pudełka, farby. Nawet ubrania... Jakby w tym domu nigdy nie mieszkał.

— To ja zrobiłem — rzekł spokojnie chłopiec.

— Kto ci pozwolił?

— Nikt, lecz myślałem, że mnie to przyjdzie łatwiej, niż tobie. To był mój obowiązek. Rzeczy, które zabrałem nie są nam potrzebne. Nie chciałem, żebyś wciąż przypominał sobie Kirka i był smutny. Czy pamiętasz, tatusiu, to samo zrobiłeś z garderobą mamy, gdy umarła.

Mężczyzna przypatrywał się synowi, jakby walczył z czymś natrętnym. Rzekł powoli: —

Miałem straszne myśli, Paul.

— O czym myślałeś tatusiu?

— To już nieważne teraz, synku.

Objął chłopca ramieniem. — Paul, tylko ty mi zostajesz. Nie mogę cię stracić!

Chłopiec wszystko zrozumiał. Następnego dnia rano wstał wcześniej od ojca. Dzień był pogodny i ciepły. Włożył spo-

zawsze! Łkając zbliżył się do ojca, objął go drżącymi ramionami.

Mężczyzna odepchnął go, chłopek upadł. — Co chcesz zrobić ze mną? — zapytał bojąc się poruszyć.

— Nie wiem jeszcze. Nie mogę się zdecydować. — Odwrócił się.

Chłopiec wstał i poszedł do

płynnego paliwa. Napelniał zbiornik. — Gotowe, tatusiu!

— Usiądź na przedzie, Paul. Ja będę kierował.

Posuwali się szybko wśród deszczu. Chłopiec drżał z zimna. Dojechali prawie do połowy jeziora i tutaj mężczyzna zatrzymał motor.

— Jak daleko jesteśmy teraz od przystani?

to natychmiast. Skacz do wody!

Naprawdę, ojciec zachowywał się dziwnie tego dnia... Chłopiec był nawet zadowolony, że może trochę oddalić się od niego. Zsunął się do wody zniknąwszy na chwilę pod jej powierzchnią. Lecz wypłynął szybko otrząsając z głowy i z oczu krople wody. Spojrzał na ojca jakby czekał dalszych rozkazów.

— Płyn naprzód, Paul! Zobaczmy, czy uda ci się osiągnąć przystań pływaniem.

Chłopiec oderwał się posłusznie od motorówki, zanurzył głowę w wodzie i zaczął płynąć. Posuwał się szybko, jakby go ktoś ścigał.

Ojciec patrzył za nim przez chwilę, potem zapuścił motor. Niedługo motorówka prześcignęła pływaka, ale trzymała się w bliskiej od niego odległości. Już przejechali prawie trzecią część drogi, która ich dzieliła od brzegu, gdy chłopiec zatrzymał się nagle. Głowę miał pod wodą, to znów nad wodą, uderzał rękami aby utrzymać się na powierzchni.

Motorówka zaczęła się oddalać od pływaka. — Paul! — krzyknął mężczyzna — nie udawaj, że jesteś zmęczony!

Zdopingowany oskarżeniem chłopiec znów zaczął płynąć, lecz było widoczne, że posuwał się z coraz większym wysiłkiem. Przez jakiś czas udało mu się zrównać z motorówką, lecz nie mógł utrzymać tego tempa i zaczął zostawać w tyle. Bryzgi wody, które znaczyły jego trasę zmniejszały się stopniowo.

Mężczyzna miał wzrok utkwiony w Paula. Na chwilę zanurzył rękę w wodzie i zdziwił się, czując jak jest zimna, chociaż jej powierzchnia była gładka i spokojna. Brakowało około stu metrów do brzegu, gdy usłyszał pierwsze wezwanie: —

Pomocy!... Tatusiu!...

Mężczyzna wyciągnął szyję, aby spojrzeć. Deszcz padał coraz gęstszy. Nie rozróżniał zbyt dobrze, lecz jednego był pewny, że bryzgi ciągle wskazywały, iż plywak posuwa się naprzód.

— Tatusiu!... Wracaj!...

Ale bryzgi wciąż tam były... Gdy mężczyzna przybliżył do przystani, wyskoczył z motorówki i stanął na brzegu. Teraz bryzgi wznosiły się w odległości czterdziestu metrów i ciągle zbliżały się.

Lecz nagle ustały. Z wody wyłoniła się ręka i uniosła do góry jakby usiłując chwycić coś, co uciekało. Potem ręka zniknęła, jezioro zamknęło się nad nią, wszystko się uspokoiło.

Mężczyzna wskoczył do motorówki, prowadził ją jak szalony do miejsca, które teraz było puste. Kręcił się wokół bez zatrzymania dopóki paliwo nie wyczerpało się. Motor zgasał, łódź kołysała się na falach...

Ojciec utkwilił obłąkany wzrok w niemej głębi i wciąż wołał: — Paul, Paul... Synku mój, syneczku mój...

Oprac. A. S.



Fot. W. Parys

denki kąpielowe i z radością zanurzył się w wodzie. Płynął oddalając się coraz bardziej od przystani. Gdy uspokoił się — zawrócił. Chwilami odpoczywał na wodzie bijąc ją rękami. Nie był jeszcze zmęczony, przypłynął do brzegu w dobrej formie.

Czekał tam już ojciec. Twarz miał bladą, wzrok lodowaty. — Widziałem cię tam daleko — rzekł. — Myślisz pewnie, iż nie wiem, w którym miejscu znalazł Kirka? Znam je dokładnie. Dopłynąłeś tam i wróciłeś z powrotem!

Chłopiec słuchał przerażony, w spojrzeniu ojca czaiła się nienawiść. Krzyknął: — Tatusiu, kocham cię, cokolwiek myślisz o mnie, kocham cię

domu. Z okna obserwował ojca, który stał nieruchomo zapatrzony w jezioro.

Niebo zachmurzyło się, zaczął padać drobny deszcz. Mężczyzna nie poruszył się. Chłopiec na wpół nagi wybiegł z domu. Zawołał głośno: — Tatusiu, padaj!... Chodź do domu!

Mężczyzna odwrócił się powoli. — Pojedziemy motorówką, choć tu, Paul.

— Ależ, tato, pada, będzie coraz zimniej!

— Miałeś ochotę przejechać się po jeziorze, prawda? — Głos mężczyzny był zimny, zdecydowany. — Dobrze, właśnie to teraz zrobimy... Idź po motor!

Chłopiec posłuchał. Przydzwigał sam ciężki motor i bańkę

Pytanie zaskoczyło chłopca. Obejrzał się wokół. — Prawie trzysta metrów.

— Kirk był niewiele ponad sto metrów od brzegu, gdy utonął. Gdybyś tamtego dnia płynął przez cały czas razem z nim, byłaby to prawie ta sama odległość, która jest stąd do przystani, prawda?

Chłopiec zastanowił się chwilę a potem wyjaśnił: — Plywak, który mógłby przepłynąć stąd do wybrzeża, powinien także móc przyciągnąć z sobą człowieka, który tonie w odległości stu metrów od łądu.

— Jak dotąd nie wyjaśniliśmy jeszcze sprawy jak długo możesz pływać, Paul, załatwimy

tego członka komisji jest wyszukać z kolekcji i wykonać wzory, nie dość nadążające za modą. Jeszcze ten nieszlagerowy! Ten też za mało modny! Taki już był! — padają surowe wyroki. Potem publiczność cmoka nad kolekcją, dziwi się że śliczna, ale po cichu ta i owa pani po trzydziestce zapyta: a takie normalne, do chodzenia na co dzień, też będą?

Życie powinno być wielorakie, urozmaicone, pełne radości. Moda jest ważkim czynnikiem dopingującym, podnosi samopoczucie, wyzwała wiele różnych satysfakcji, niechby sobie nawet i snobistycznych. Niesnob uśmiechnie się najwyżej ze snoba i pójdzie dalej, goniąc za satysfakcjami wyższego rzędu. Bardzo dobrze. Ale co innego jest taki czy inny wyraz twarzy, a co innego — grymas. Co innego mocny uderzeniowiec na estradzie, a co innego jego słuchacz na widowni. Estrada musi się różnić od widowni, czy też może wszyscy chcemy i musimy koniecznie grać? Nawet nie grać, a zgrywać się? Wiecznie się zgrywać, wiecznie stroić grymasy, niech się smutniaki zloszczą, żeśmy tacy wolni i nieprzymuszeni? Ze robimy co chcemy?

Niech sobie będą mini, ale przecież nie przepaski na biodra na wichurę, deszcz i mróz, na ścisk w tramwaju i na miejsca prawdziwej, poważnej pracy. Niech będą potem długie pászce, ale po co ohydne kożuszyska do samej ziemi, w których nikt zachęcająco wyglądać nie może? Po co ten absolutny brak sensu, ten — jeszcze raz — pęd do wyglądu, do dziwactwa? Więcej poszanowania dla mody, szanowne obywatelki i obywatele!

CWIEK



## Lewym okiem

## PRZEBIERANCY

Zajrzyjcie do Małej Encyklopedii pod literę M. Co to jest moda? Są to „zmiennie, przelotne zwyczaje i upodobania związane z zmianami stylu życia, w szczególności sposoby ubierania się”.

To była do niedawna prawda. W książkach, traktujących o historii ubiorów, wiąże się w sposób logiczny i przekonujący styl życia ze stylem przyodziewku, całą filozofię podkłada się pod wysoki kołnierzyk i pod głęboki dekolot. Dziewica z epoki romantycznej była nie do pomyślenia w spódniczce mini, zawiadziaki szesnastowieczny szlachciora — w czarnym surducie do kolan. Czy jednak w naszych czasach moda ma wciąż jakiś związek ze stylem życia?

Ulice naszych miast stają się miejscem nieustannej defilady przebierańców. Taki wyraz ciśnie się przecież na usta: ci ludzie nie są modnie ubrani, oni są dziwnie poprzebierani. Jeżeli idą ze sobą trzy podfruwajki — jedna w czarnym pászce do samej ziemi i w czarnym berecie, oblepijącym szczerle całą głowę z uszami, włosami i szyją, druga w po-

marzańcowych spódnicach i zielonym szalu, przerzuconym przez ramię, trzecia w spódniczce nie wiadomo jakiej, bo w ogóle nie wystającej spod kusej wiatrówki, a za to w białych pończochach w złote gwiazdki — to czy są trzy style bycia? Nie, to jest ten sam styl, który nie harmonizuje z żadnym strojem. Styl maskaradowy. Nieprawdziwy, udany, na jeden występ. Taki zaczyna dominować styl: całe nasze życie staje się kupą pojedynczych występów, jak najbardziej dziwacznych, żeby wreszcie siebie samego nie przeoczyć w milionowym, mrowiącym się gorączkowo tłumie.

Bywalczy twierdzą, że największe supernowości nosi się dziś w Londynie i w Warszawie, no może częściowo jeszcze w Paryżu. Mam przed sobą ogromny katalog domu sprzedaży wysyłkowej w Monachium. W głowie się kręci od olbrzymiej różnorodności towarów. Ani jednej sukni maxi! Ani jednego pászca do ziemi! Same ubiory dla ludzi, na ulicę, do biura, nie — na scenę. Nie — na ubaw, dla draki, pour epater... Kogo „epater”? Nawet modelki i modele w tym katalogu — cóż za brak wyobraźni! — przypominają prawdziwych ludzi, panie mają zaokrąglone ramiona i biodra, panowie nie wszyscy z baczkami.

„Związki zawodowe są przeciwne natarczywemu lansowaniu wymyślnych i krótkotrwałych wzorów nowości, głównie ubiorów i odzieży, przeznaczonych dla niewielkich grup snobistycznych nabywców” — napisał nasz „Przegląd Związkowy” w listopadzie. To bardzo dobrze. Ale kiedy wiele, wieloosobowa komisja zatwierdza na przykład kolekcję wzorów obuwia przed targami krajowymi, to naczelną troską każ-